

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

W BOSTON.

KAZIMIERZ HR. WODZICKI

CZŁONEK AKADEMII LUGDUŃSKIEJ,
TOW. PRZYRODNIKÓW JSIS, CENTRALNEGO TOW. ORNITOLOGÓW NIEMIECKICH
I TOW. LEKARZY I PRZYRODNIKÓW POLSKICH.

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

Is J. Elisono kłya
Nr



I. — II

BOCIAN.

Wydanie WYDANIE DRUGIE POPRAWNE. *Prze*

W KRAKOWIE,

NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1877. *Aleksander Sulowicki*

93696



222653/1

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0134999

W/247/02 p 264709

40r



PRZEDMOWA.

Nie podpada wątpliwości, że Zapiski Ornitologiczne pisane były pod nader szczęśliwą gwiazdą, gdyż bez rzeczywistej wartości ścisłej nauki, doznawały zawsze przychylnego przyjęcia od naszej publiczności. Autor, jak dziecko pieszczone i zepsute, od roku 1857 nadużywał cierpliwości czytelników i wydawał szereg monografij ptaków, tuląc się do czasopism z powodu, że nie uważał treść dosyć cenną, aby w osobnym dziele mogła zabierać zaszczytne miejsce w księgozbiorach krajowych. Zachęcony łaskawością czytelników, znalazłszy w czytelniczkach bodziec i ostrogę do dalszych prac, gdy słota rolnika pod dach zapędziła, lub też błotna i brudna nasza wiosna zamykała świat przyrody przed jego oczami i lokalizowała go przy stoliku, wydobywał zapiski i notatki ornitologiczne, odgrzebywał w pamięci zdarzenia i spostrzeżenia, a zerwawszy ze zmuśnionym gospodarstwem, zestawiał z przyrody obrazki na podstawie rzeczywistej i udowodnionej faktami pra-

wdy, czyli rzeczywistości, tłoczył w ramy prawdę, którą zebrał i usystemizował przez długie lata badawczego życia.

Szereg Zapisków Ornitologicznych rozpoczął Ibis polski, nasz rozumny *Bocian*, za nim wyszedł obrazek lotnej i sympatycznej *Jaskółki*, za nią pojawiła się zalotna *Kukulka*, obnażona z macierzyńskości, poczem stanął przed publicznością grobowy i złowrogi *Kruk*; ten szereg poważnych charakterów przerwał lekkomyślny *Wróbel*, ten pasożyta i lubieżnik, ten orientalista w świecie ptasim; narobił on hałasu, jak twierdzą złe języki, i skandalu, lecz to istna potwarz; prawdę mego twierdzenia każdy przyzna, który z cierpliwością życiorys do końca przeczytał. Bystrość jego rozumu, pamięć, zwyczaj i obyczaje, życie całe pożytkiem zasiane, pracowite i tak dziwnie złączone z człowiekiem, zasługiwało zaiste na monografię. Któż jest w świecie bez ale, więc i ta ptaszyna ma swe cieniowe strony, mianowicie niczem nieokiełznaną namiętność i w swych afektach nie zna granic, ni hamulca; pomimo, że od dziada pradziada pod polską strzechą się rodzi, napełnione ma żyły maurytańską krwią, i w porze długotrwałego lęgu, jest, jak to mówią, ekscesistą, wszakże bez naruszenia zdrowia, co mu z pewnością jako ozdobę i zasługę przypisać wypadnie. Autor przyznając zbyteczną szczerłość w opisie jego małżeńskiego pożycia, również przyznając, że wydrukowane szczegóły, należą wyłącznie pod firanki lub baldachim, starać się będzie w nowym wydaniu wróbla zawoalować i niekiedy nakryć go zasłoną, aby nikogo nie raził, ani też nie był pokusą do naśladowania.

Wróbel mój wywołał niemało rumieńców, narobił hałasu i oburzył matrony, nie umiejące szukać w żartobliwości pożytku. Wypadało milczeniem zażegnać wrażeń, gdyż autorowi wielce zależało na dobrej opinii czytelniczek, więc pióra nie umaczał przez dwa lata. Nareszcie począł pisać o drapieżnym *Jastrzębiu*, lecz widocznie jego gwiazda blednąc poczęła, lub też oburzone wróblem matrony, na niego urok rzuciły: ledwie bowiem mój ptak się wypierzył i leciał do publiczności, aby się przedstawić, w pierwszym locie już przed prokuratorą złapany został i utracił wiele ozdobnego i barwistego pierza swego. Zbolały i bez piórek, rok cały przecierpiał i wyzdrowiał; wszakże wiele sterówek i lotek odrosło mu w innych barwach, jest zatem wszelka nadzieja, że wszędzie teraz zostanie przypuszczony i pomimo, że rabuś, złodziej i szkodnik, nie dostanie się przed kratki po raz drugi. Nareszcie podaną będzie do druku kuropatwa, obraz płodnej małżonki, przykładnej i ofiarnej matki, naśladowania gośdnej samiczki i towarzyszki.

Kilkakrotnie z Poznania i z Warszawy czyniono mi oferty do wydania mych zapisków ornitologicznych pod nader korzystnymi warunkami, których wszakże przyjąć nie mogłem. Jużto z przekonania o małej wartości méj pracy, stosownie umieszczonej w czasopiśmie, a nie dosyć naukowej do przedstawienia się, jako dzieło przyrodniczych badań, nie dosyć troskliwie opracowanej, już i z téj przyczyny, że dozwolić nie mogłem wydawcom czynienia zmian w téj nierozdzielnej całości — i zmuszony byłem oświadczyć, że ptaszki moje przedstawiają w obrazkach, ze wszystkimi piórkami,

lub też zaniechają myśli wydania ich monografij. Wśród tych rokowań rok po roku mijał, troska życia włos posrebrzała; myśl ku grobowi skierowana, coraz więcej od życia się już odwracała, a przekonanie się ustalało, że moje prace ornitologiczne, cechujące całe me życie badawcze, ulotnią się w rozrzuconych i zapomnianych czasopismach, nie zostawią w kraju więcej śladu, jak to moje ciało roztoczone w ziemi. W tym roku pojawia się życzliwa ręka, sięga po moje zapiski, przyjmuje warunki i stawia mi za życia skromny pomniczek za moje głoszone uczucia, zasady i badania.

Lecz jak to zawsze bywa w życiu, że nie ma róży bez ciernia, nie ma pnia bez sęka, więc i w tém dobrodziejstwie pojawił się cień i sęk. Otóż wydawca żąda odemnie absolutnie przedmowy. Na samą myśl krzepnie mi krew, a ciarki po epidermie biegają, gdyż ja nigdy przedmowy nie pisałem i umysł mój nawet tego wyrazu objąć i określić nie jest w stanie. Dla mnie przedmowa przedstawia się, jak ozdobna wystawa sklepowa, mieszcząca w sobie ogrom pokus dla publiczności; wewnątrz zaś najczęściej wystawie nie odpowiada, — lub też jako reklama, ten magnes tegoczesny, pochłaniający w każdym roku miliony procentowane i stracone. Ja zaś dla méj łaskawej publiczności, ani złudnej wystawy, ani mamiącej reklamy przedstawiać nie chcę, wszakże dopełniając warunków, postawionych mi przez opiekuna zapisków ornitologicznych, te słowa spisuję, prosząc o pobłażanie i o te same względy dla mych prac, których dotąd doznawały.

Ogrom przyrody, ten gmach Boży, w swéj budowie do nieskończoności wykonany, olbrzymiemi ramami w zdumienie wprowadza, doskonałością szczegółów nas zadziwia, a ponętnemi tajemnicami roznieca ciekawość do stopnia gorączkowości. Przyroda była i jest dobroczynną mamką ludzkości i pomimo téjże niewdzięczności, karmi ją bez przerwy, nie karci psotników, a hojna i wdzięczna dla swych wielbicieli, ubarwia im życie, ułatwia prace, wdziękami swemi usuwa troski, smutki i żałoby, towarzyszące każdemu w téj wędrówce. Ona jest również nauczycielką i pomimo uczniów niesfornych, leniwych i odwracających się od téj odwiecznej katedry, uczy, zmusza do nauki i nareszcie wyciska pożytek na umysłach. Postrzegamy w naszym wieku wprawdzie ślimaczy postęp w zaciekawieniu do badań, lecz widoczny i stopniowy; a że przyroda, to cnotliwa zalotnica, siejąca pełną dłońią i ustawicznie pożytek, więc obawy nie ma, że ustanie ta działalność i wszyscy obowiązani jesteśmy jój służyć, ją badać, z niéj pożytek ciągnąć bez szkody i drapieżności, zachęcać młodzież do zgłębiania téj wiedzy, aby wzrastające generacje coraz większe skarby zdobywały dla nauki i pożytku społeczeństwa. Działy przyrody, to olbrzymie światy; każdy z nich ze swemi tajemnicami wystarczyłby na prace dla całego narodu i naródby zaginał, firmament zgasiłby swe światła, a dział jeden we wszystkich swych tajnikach jeszczeby się w zupełności nie obnażył, wobec swych badaczy. Dział geologii, świat skarbów i materji, bezdennej, tajemniczy, w swych głębiach nieprzystępny dla ludzkości; dział botaniki, świat pożytku, istna boża spizarnia,

grób i barwisty kobierzec; dział zoologii, to jatki społeczeństwa, to pobojuwisko nieustającej walki, przy której człowiek jest rozjemcą, lub wrogiem dla walczących zastępów. Przy każdym dziale występuje człowiek w charakterze stróża bezpieczeństwa; lub też szaleniec, staje się psotnikiem arcydzieła, mordercą swój karmicielki, i gdyby podpalacz jednego, pożarem ściga kraje i społeczeństwa. Z działu zoologii, od najmłodszych lat, niewymownie mnie kusił świat ptasi, magnetycznie przyciągał, zmuszał do badań jego moralnej i uczuciowej strony życia. Czułość w miłości, wierność w małżeństwie, ofiarność dla rodziny, opiekuńczość w pożyciu, towarzyskość, odmienność charakterów, stopniowanie zdolności umysłowych, odrębność zwyczajów i tradycya, przechowująca się w rodach: oto, co było dla mnie źródłem niewyczerpanem do dnia dzisiejszego badań, zestawień i marzeń dobroczynnych. W świecie tym ruchliwym przedstawia się, gdyby odbicie kamery obscura, moralna strona ludzkości, lepsza, czulsza, prawdziwsza i szlachetniejsza do tego stopnia, że mimowolnie nasuwa się życzenie, aby społeczeństwo naśladowało cnoty tego rodu, tak wiernie przechowane i wykonane. Ptaszyna od puchu do śmierci, woła i prosi o miłość i pokój, szuka siły i schronienia w zwartej rodzinie, stowarzysza się z równemi, nie ozdabia cudzemi piórkami, w uczuciach nie zmienia; pojmująca ofiarność i jej skarbiec, nieżyjąca wyłącznie dla siebie, poznająca swych wrogów, chroniąca się przed nimi, a głosem swym dzwicznym chwali miłosierdzie Boże, nie wstydzi się tej wrodzonej wdzięczności, błaga o opiekę, gdyż pod jej skrzydłami

żaden ród nie zaginie. Wiem ja, o moje ptaszeta, że wy wiernością w uczuciu, poświęceniem dla działwy, przechowaniem niczém nieskażonej rodziny, otrzymanie łaskę niepodległości, bo wy wierne posłannictwu, zuchwaltwa nie pojmujecie, niewdzięczności się nie dopuszczacie, a korni wobec Wszechpana, rodzinę przechowujecie obręczą miłości okoloną, bezpieczną wobec wrogów i pokus.

W naszym wieku racjonalizm zapanował nad uczuciem, rozum spotęgowany do stopnia boskości, depa niemilosiernie to ckliwe i paraliżujące działalność serce; — umysł otrząsłszy swe odwieczne kajdany wiary, zasad i prawd, w swój wszechwładności uważa wszystko za narzędzie dla swych celów. Pęta odwieczne, niedozwalające człowiekowi zbaczać na bezdroża, potargane; miłość bliźniego wysmiana i jako nędzna żebraczka wypędzona; wiara, woli poddana; małżeństwo stało się związkiem bez obowiązków; wyłoniona rodzina traci swą całość, oparta na indywidualności i nareszcie wszechwładny człowiek otrząsł się z przesądów i poczyna swe wampirowe życie, kosztem bliźniego. Ludzie, społeczeństwa i narody używane za narzędzia, za źródła i za ofiary, siła pokonywa odwieczne prawa i ostrzy miecz despotyzmu w pochwie wolności, niweluje, ciemniży i uboży, wskazując na hasło: *usamowolnienie ludzkości*. Z zacisza badając tę nierówną walkę, to przeobrażanie ludzkości, tę pasożytną działalność, zda, e się, że dla uczucia i rodziny ten świat nowy nieprzystępny, — i jak zgrzybiały starzec tuli się do kaloriferu, tak ja się wciskam w ten świat żadną szkodliwą innowacyą nienaruszony,



pieszczę myślą czułe uczucia i ofiarność, zachwycam się tą rodziną w pełni żyjącą, obczyzną nienaruszoną. Niewątpliwie bałwany walącego się potopu, porwą ideę miłości, poświęcenia i wiary, potargają węzły małżeńskie i rodziny, zniweczą pojęcie chrześcijańskie bliźniego, w imieniu wolności; siła sztucznego prawa zapanuje, olbrzymy pochłoną karłów i człowiek bez uczucia i bez zasad zapanuje. Lecz zgliszcze, popioły, otwarte otchłanie, jęk ofiar, rozstrzelenie ludzkości, brak spójni i ciepła, przewrót ogólny, jak i ogólne wyzyskiwanie ofiar, odwrócenie się Boga od wszechwładnej ludzkości, zapoznającej swego Stwórcę, nędza tłocząca społeczeństwa, oto drogi, któremi Opatrzność poprowadzi reformatorów i wykaże im nicość środków, tychże szkodliwą tymczasowość i zbrodniczą czynność, zniweczy katów, a przekona ofiary, że jedyne spiżowe podwaliny ludzkości są *w wierze, w miłości i w rodzinie* i na tych fundamentach zbuduje dopiero po krwawych próbach gmach prawdziwej wolności, w którym przeznaczyła mieszkanie dla swego wybrańca, człowieka. Gdy nareszcie mnogie wody potopu ustępować poczną i z arki przechowanej wystąpią stworzenia na podobieństwo Boże stworzone, odwracające się od szatana i dzieł jego, wtedy z grobu błogosławić będę memu wydawcy, za przechowanie dziełek moich, z prawdziwymi obrazkami wykradzionymi przyrodzie, zagrzane uczuciem, ubarwione odkrytymi tajemnicami. Powodzenie mych zapisków nie oparte na ich wartości, lecz na emanacji ciepła miłego każdemu, w szczególności w naszym wieku, z tak dziwnie chłodnym i dokuczliwym powiewem. Ustęp powyższy za-

krawa nieco na reklamę, wszakże nią nie jest: wyjaśnia on jedynie dążność prac autora.

Pomimo widocznego postępu w zamiłowaniu nauk przyrodniczych, rzadko kiedy, po za ławą szkolną spostrzedz się dają naukowe dzieła, w ścisłych ramach zamknięte, gdyż sucha wiedza, chropowata szpiczastość systematyczności, gdyby martwy szkielet bez życia odstrasza, a w konsekwencji odpycha pożytek. Wielu przyznaje potrzebę pożytku tego pokarmu, wszakże nie ma odwagi i uważa czytanie tych dzieł za ciężar zbyt wielki dla umysłu. W narodzie naszym, przez Opatrzność nieznanymi drogami prowadzonym, wobec dotąd niewidzialnej jeszcze mety, pomimo szkodliwych tegoczesnych wyziewów i miazmatów, od ciemnego chłopka do magnata polskiego: uczucie ogrzewa jeszcze wszystkich, bo miłość ojczyzny spleciona z żarliwą wiarą, w cudowną róższkę, posłannictwo narodu do obrony kościoła, ogrzewa, elektryzuje i zimnemu rozumowi nie dozwala despotycznie opanować serca. Nasze myśli, nasze nadzieje, poglądy nasze społeczne, choroby i nasze rekonwalescencye, wszystko mieści się w miłości, nadziei i wierze przodków naszych; gdyby nam złowrogie losy odebrały ten ciepłik i ten bodziec, wtedy rzeczywiście moglibyśmy wyrzec żałobne i rozpaczliwe słowa Kościuszki.

Studyum przyrody uczy kochać, stwarza nieograniczoną wdzięczność, uszlachetnia i wzbudza podziwienie nad panującą harmonią, niczém nienaruszoną, kształci umysł, trucizny do niego nie dopuszcza, wydaje ciepłik upajający duszę, zmusza do pracy i przyroda przedstawia

się badaczowi, jako dzieło uwielbione, jako własność drogocenna, uposażająca nasz naród. Ona nie dopuszcza zwątpienia, bo jest kierowana ręką wynagradzającą dobro, a chłosczącą złe, podtrzymuje nas, o ile wiara i miłość nami kieruje i o ile psotna ręka nie narusza całości arcydzieła. Harmonia i barwistość, całość skuta w jedność z najrozmaitszymi szczegółami, błąd labiryntu, otchłań tajemnic, świat nieodgadniętych zagadek, a wszystko kierowane od początku wszechświata ręką wszechmocną: oto co wzbudza podziwienie, zachęca do pracy, wynagradza, uspokaja i przygotowuje człowieka do lepszego życia, a szczęśliwy i błogosławiony ten badacz, który sieje zdrowe ziarno, kiełkujące dla potomności. Strona moralna i uczuciowa działu przezemnie obranego, dziwnie się łączy z ludzkością, zlewa się z człowiekiem, przykładami żywej zachęca do pożytku, wskazuje szkodę, chroni od niebezpieczeństw, uczy harmonii, równowagi, na czém siła spoczywa.

Stopnie rozwinięcia władz umysłowych, pamięci, przebiegłości, czułości i poświęcenia, nie tylko rodów, lecz i jednostek; stopnie potęgującej się ofiarności dla rodziny, wierność w wykonaniu odwiecznych praw; odmienność życia i zwyczajów, życie wyłącznie poświęcone rodzinie, lub też wspólne; gatunek społeczeństwa ptasiego z ludzkimi wadami i przymiotami; jednych pustelnicze życie, wyjąwszy pory łęgu, drugich potrzeba towarzystwa, tych życie zamknięte w rodzinie, stroniące nawet od spokrewnionych gatunków, tamtych szukających obszerniejszych i liczniejszych stosunków, to znowu rody gnieźdzące się wspólnie, gdyby w falansterze, inne

szukające zacisza bez świadków; a te wędrówki rodzin, lub społeczeństw ptasich, te migracje wspólne w kilka i kilkanaście gatunków, ba, nawet rodzajów, to kojarzenie się do pewnych celów i na określony ściśle przeciąg czasu, przygotowania do podróży, terminu tychże, wierność przepisom, powroty do czasowej ojczyzny i gniazda: oto co wznieca ciekawość, zachęca do pracy i prze do dalszych badań, ubarwionych dla mnie myślą pożytku. Skończyłem i pytam siebie, czy to przedmowa, czy też ramotka, lecz odpowiedzi znaleźć nie mogę, niechże więc wydawca zdejmie ze mnie odpowiedzialność, a wobec publiczności na siebie przyjmie, jako karę słuszną za nakaz napisania przedmowy.

Olejów, 30 grudnia 1876.

Kazimierz Wodzicki.



PRZEDMOWA

DO PIERWSZEGO WYDANIA.

Kilkakrotnie wzywaliście mnie do udzielenia wam spostrzeżeń ornitologicznych; posunęliście zamiłowanie nauk przyrodniczych do stopnia u nas dotąd nieużywanego, ofiarując się drukować w zeszytach *Dodatku do Czasu* dzieło moje »O polskim sokolnictwie«; z wezwania pierwszego nie miałem dotąd odwagi korzystać z przychyny téj, że nauki przyrodzone mało zajmują jeszcze współrodaków. I jakże inaczej być może, gdy w szkołach naszych te nauki jako *malum necessarium* wykładane bywają, jako gałąź poboczna, z której nikt nie korzysta, a to twierdzenie popieram długoletniem własnym doświadczeniem, egzaminując młodzież mi znajomą, która w zoologii, ornitologii i mineralogii żadnego owocu ze szkół nie wynosi. Rozróżniają konia od wołu, a koguta od gęsi, lecz te korzyści otrzymali na wsi u rodziców a nie od panów profesorów; rozpoznają

szlachetne kamienie od piaskowca i krzemienia, lecz tego się od jubilerów nauczyli, gdy o klejnotach pomyśleli. Jakże ma być inaczej, gdy nasze zbiory mozolnie zpszone w Krakowie i we Lwowie, albo bez preparatów i konserwatorów niszczej, albo przez nie-szczęścia krajowe zupełnie znikły z widnokregu; lub też co gorsze następstwa przedstawia, kiedy naczelnicy tych zakładów nie są specjalnie i z zamiłowaniem tym zbiorom oddani. A nareszcie jakże się uczyć, jak w nauce postępować, jeżeli się nie posiada obcych języków, skoro w kraju tak mało dzieł historyi naturalnej, tak mało badaczy cudnej przyrody, tak mało piszących w tym zawodzie; a pisać zaiste niełatwo. Dzieło wyłącznie naukowe nie znajdzie wydawcy, bo to treść jałowa, to nie pokupne; wypada więc samemu nakłady ponosić, a w tém nagrody swojej pracy żaden badacz znaleźć nie może i niejeden manuskrypt spoczywa w biurku, czekając na postęp naukowy i rozpowszechnienie zamiłowania do nauk przyrodzonych. Pojmiecie przeto, dla czego nie pisałem.

Dziełka mego o Sokolnictwie nie dałem, *bo tom duży z rycinami*; jakżeż ja mogłem przypuszczać, że czytelnicy *Dodatku do Czasu* przez wiele numerów czytać będą zawsze i zawsze o Sokołach? Dziełko wyjdzie skromnie i bez obwieszczeń, bez spisu abonentów; trafi do mych znajomych i kolegów naukowych; tych zajmie chwilkę, drugim służyć będzie za nić Ariadny po labiryncie badań przyszłych — to dosyć, autor więc nie żądał.

Zarzucicie mi brak konsekwencji, odczytawszy do-

łączone wyciągi z mego ornitologicznego dziennika, lecz ja się pierwój wytłumaczyć myślę. Nie zamierzam ja być wcale naukowym pisarzem: dzielić wam przyrodę na rzędy, familie, pokrewieństwa, rodzaje i gatunki; odrzucam precz opisy składu pierza, szkieletu, pory pierzenia, wędrówek ptaków; brzydę się polemiką nad nowym gatunkiem lub klimatyczną odmianą żyjatek; nie chcę mówić o anatomii, ani też nie chcę robić wyciągów z zagranicznych autorów. Zapytacie zapewne, co pozostanie do druku? — Oto spostrzeżenia szlachcica miłującego przyrodę, badającego ją od dzieciennych lat, siedzącego na wsi, a zatem po górach, lasach, stepach i bagnach uganiającego; szlachcica, który w zawodzie swoim doznał tyle rozrywek przy troskach i smutkach; który corocznie dokładniej poznając swych ukochanych powietrznych mieszkańców, zgłębił ich życie, jeżeli tak mogę powiedzieć, *wżył się w ich życie* i odkrył wiele dotąd nieznanego, oświecił co ciemnego, zajrzał nieraz pod zasłonę przyrody i te odkrycia nienaukowe bynajmniej, te ramotki ornitologiczne, bez systemu, urykwo-wo, tak jak w jego dzienniku skreślone, te wam czasem posyłać zamysła; a jeżeli będziecie go czytać, rozzerwie was, wywoła uśmiech lub wzbudzi podziwienie; o wtedy pisać będzie wiele, bo bogactwo przyrody niewyczerpane, pole odkryć bez końca, *a Bóg w swych dziełach wielki, co widzieć można wyłącznie tam, gdzie ręka ludzka jeszcze nic popsuć nie mogła!* — Poznać, jeżeli to przyjąć zechcecie, moralną stronę życia ptaków, podsłuchać skrytości tych lubych żyjatek, rozróżnić instynkt od rozumu, podzielić je na rozumne, prze-

biegłe, pełne pamięci stworzenia, jak również na te, które parte instynktem żyją jednym trybem i nic zajmującego do odkrycia nie pozostawiają; zedrzeć zasłonę z ich życia, poznać czucie, którego im odmówić nie można, zestawić ich życie z życiem człowieka i dać dowody trafnego podobieństwa, oto moje zadanie — czy się z niego dobrze wywiążę, sami osądzicie.

Ptaki jedne są pełne zdolności, drugie ograniczone w tym samym gatunku, zupełnie jak u psów, lub koni.

Pastor Brehm w swych humorystycznych rozprawach ornitologicznych, stawia ten axiomat nie do obalenia: »Ten naród najszczytniejszy, który najsumienniej świętość węzłów małżeńskich utrzymuje; ten zaś, »u którego węzły te niemocne, lub ten u którego nie »istnieją wcale, jest bliski rozprzęgnięcia i rozłożenia, »a ostatni stoi na równi ze zwierzęcym światem«.

W całej przyrodzie *małżeństwo naturalne* wyłącznie u ptaków się skoncentrowało; bo oprócz rozpustnych kaczorów bez żadnych zasad moralności i u niektórych równie rozpustnych, grzebiących ptaków, jak n. p. u Kniejołka głuszca i Cietrzewia, wszystkie ptaki żyją w naturalnym małżeństwie, wierność i przywiązanie zachowując do śmierci, mówię wyraźnie do śmierci, a to tysiącami dowodami potwierdzić mogę. Ptaki podług wieku zmieniają barwę, a zatem w powietrzu jak i na drzewie, nawet nieuzbrojonym okiem są łatwe do rozpoznania, do tego stopnia, że badacz długo jedną okolicę zamieszkujący, ma znaczną ilość parok lat kilkunastu znajomych, które na tym samym miej-

scu się gnieźdzą, znoszą jajka w to same gniazdeczko, w tej samej przestrzeni żerują, tym odznaczającym się głosem wabią lub śpiewają, a zatem nieomylnie dają nam spostrzeżenia. Te parki obserwując, przekonałem się, że dopóki na wędrowce lub od drapieżnego zwierzątka nie zginie żona lub mąż, one do śmierci razem zostają. Co więcej, w gniazdeczkach już przyszłe parki się wylęgają, które się od pisklęcia razem trzymają; później się pobierają podług niezłomnych prawideł przez Opatrzność im nadanych, jedne na rok przyszły, inne w drugim roku, niektóre w trzecim, a w całym rodzie ptaków ilość samców przewyższa liczbę samic. Łatwe to do wytłumaczenia dla czego tak Stwórca postąpił: bo samce wędrując wcześniej, wystawieni na częstsze przypadki; dalej donosząc pożywienie samicom w czasie lęgu, doznają nieszczęśliwych przygód; a że wdówek w tym rodzie nie ma, obce samce zastępują utraconych małżonków i znaczna przewyżka żyje jako rezerwa dla samic. Prawdę mego twierdzenia nie trudno dowodem poprzeć: gdyby nie było więcej samców jak samic, czyby tak zacięte walki na wiosnę toczyli samce? A w drobiu domowym czy niezawsze więcej kogucików i kaczorków, jak kurek i kaczek?...

Aby przekonać niedowierzających, że pary od lat wielu poparowane łatwo od innych rozróżnić i zawsze można poznać, przytoczę tylko, że ptak przylatujący do swój, że tak powiem siedziby, już ruchem, znajomością lokalności, przygotowaniem do reparacyi, niemal wszystkiem różni się od tego, co obce gniazdo zająć chce. Przybysz obchodzi, rekognoskuje z wszelką ostrożnością,

dobiera materiały, dopassowuje, próbując każdą trawkę lub gałązkę jak też leżeć będzie i jego budowa trwa dłuższy czas, jak dawnego właściciela, który wszystkie zakątki i potrzeby znając, w krótkiej chwili wyrestaurowuje przeszłoroczne gniazdo. Kto uważał, jak bystrym lotem nadlatująca na ciągu jaskółka w ciasny otwór komina, strychu lub okna bez zastanowienia wpada i ogląda pozostawione gniazdeczko; kto uważał jak szpaki do skrzynek im do lęgu zostawionych, każdy do swojej trafia pierwszego dnia; jak pliszka skrzętnie po strzesze biegając znajduje ciasny otwór przeszłorocznego gniazdeczka i bez wahania się, mimo ludzi, hałasu i dymu spieszenie do niego wchodzi; kto widział muchołówki odważnie do dziupel wcale nie zakrytych wskakujące, a nareszcie kto miał sposobność widzieć te ruchy swobodne, to mógł słyszeć te głosy lub śpiewy oznaczające radość z zastania w domu należącego porządku, ten pewnie pozna swych znajomych. We wróblowatych śpiewakach, owadożernych, samce tydzień czasem i dwa tygodnie pierwiej przylatują niżeli samice; są to kwatermistrze tego rzędu, ich znajomość lokalności, przygotowania do przyjęcia samiczek, wyczyszczenie gniazd bardzo wyraźnie dowodzi, że oni do swego mieszkania dawnego wrócili. A z jaką odwagą i śmiałością bronią swą przez czas nabytą własność, (bo u nich, gdyby u nas, używanie długoletnie stanowi własność) przeciw napastnikom i rywalom.

Powyżej wspomniałem, że w gromadzie ptaków nie ma wdówek, już z rozlicznych pokus następczanych przez przewyższającą liczbę samców, zawsze gotowych

do usług pokątnych, odważnych i natrętnych, wzdychających do samiczek obcych, nie mając swych własnych. Między tymi zdarzają się naturalnie jedni, co harmonijnym głosem romanse nucą, a te tony tak fletowe, tak głęboko smutne, że się samiczkom miękko na sercu robi, tém więcej, gdy ich samce gnuśni do śpiewu, lub pewni szczęścia domowego nie dbają o rozrywki dla nich; inni znów bystrym lotem toczą powietrzne koła, kołyszą się pod błękitem nieba, z tą gracyą, co magnetycznie przyciąga oko nasze; nareszcie trafiają się i tacy dufni w swą siłę, przyzwyczajeni do tryumfów, natrętni, odważni, często bardzo odbijają prawego samczyka; o, to niebezpieczne stworzenia, bo samiczki lubią odwagę, nawet wzdychają skrycie do tych, co się z szaleństwem na niebezpieczeństwo narażają. To co powiedziałem, ma służyć za wyjaśnienie postępowania samiczek, które potępiał, lecz sobie tłumaczę, bo pokusa coraz silniej i natarczywiej występująca, łamie niestety i silne zapory. Następujące opisy potwierdzają prawdziwość moich postrzeżeń.

W moich wycieczkach ornitologicznych, wyznać muszę, że wiele, bardzo wiele ptaków w czasie lęgu zabijałem; jużto dla zbiorów, jużto dla nauki, a nawet dla badania skrytych uczuć ptaków, odstrzeliwałem samca od samiczki, równie często jak samiczkę od samca i ścigałem jak długo mogłem wzrokiem i myślą owdowiałego ptaka. Nie chcę twierdzić, że samiczka nie czuje straty samca; jój żalozne wabienie, niespokojność ruchów i lotu, to ciekawe szukanie za nim i wołanie go, to są nieomyślne oznaki przywiązania. Lecz to mija

jak deszcz ranny lub płacz panny; drugiego dnia najczęściej już ją widziałem z drugim w zabawie; już ję donosił żer, już pomagał w utrzymaniu gniazda, bo nawet samczyk pełen poświęcenia siadał na parę godzin na jajach nowo przybranéj samiczki i ułatwiał ję życie. To przywiązanie czysto platoniczne, bo drugi raz z nim tego roku gnieździć się nie będzie i jajek znosić, myśl mi często nasuwało, że wie on, iż oddziedziczywszy teraz obcą samiczkę, na rok przyszły mieć ją będzie za swoją, i dlatego służył i śpiewał, karmił obce dzieci i nareszcie z przybraną rodziną odleciał w jesieni. O jakże zawsze żałowałem, że téj parki naznaczyć nie mogłem! Na wiosnę przyleciał w ten sam krzak samczyk, śpiewał kilka dni i doczekał się samiczki, lecz czy to tesame ptaki były, których życie na różne próby wystawiałem? tego twierdzić niezawsze mogę.

Samiczka ma zatem przywiązanie, lecz pełne wyrozumiałości jak w ludzie wiejskim, najbliższym stanowi natury, przybiera samca do pomocy i z nim się wkrótce pociesza. Stan wdowca jest pożałowania godzien. Spozstrzegłszy swą stratę, szuka niespokojny po wszystkich znanych mu kryjówkach, a tak żałośnie i bez przerwy wabi, że szczerze żałowałem często popełnionej zbrodni. Gdy tak spędził parę godzin nie myśląc o jedzeniu, siada na ulubioném miejscu, czasem zawabi; głos jego złożony z przerwanych nót dawnego śpiewu; spuści skrzydełka, napuszy pierze i siedzi nieruchomy, jak gdyby dumał nad ogromem poniesionej straty, ocknie się, zajrzy do gniazdeczka, usiądzie na chwilkę, lecz wytrzymać nie może; znów odleci, polata

i znowu powraca na miejsce, na którém dawniej głosił śpiewem szczęście, dziś postawą, pierzem zaniedbaném i milczeniem pokazuje swą żałobę. Obserwowałem wiele gatunków: orły, sokoły, gołębie, pliszki, gajówki, muchołówki, słowiki i bociany, u wszystkich spostrzegłem co wyżej opisałem. Szczególne zjawisko, gdy po kilku dniach ubijałem tych wdowców, chudzi byli jak szkielety, a pierze zabrudzone, opuszczone, olejkami nie wysmarowane! Wdowiec tego roku nie szuka już samiczki.

Część znowu owdowiałych ptaków, pojmując w pełni ofiarności dla dzieci, znosi z rezygnacją żałobę, przyjmuje z odwagą smutną spuściznę po mężu lub żonie, staje się podziwienią godną matką lub ojcem i wychowuje mozolnie pozostałe sieroty. W ciągu dalszych zapisków potwierdzam dowodami co wyżej powiedziałem, w szczególności w gatunkach drapieżnych ptaków, licznymi nader spostrzeżeniami. Siła i odwaga szeregu tych rozbójników ułatwia wychowanie piskląt i ich usposobienie podobne do tego, które u wilków postrzegamy, mianowicie, że najadłszy się nad miarę kilka dni, zdaje się, wytrzymują głód bez cierpień i niepokoju.

Jeżeli przyznacie prawdziwość axiomu postawionego przez pastora Brehm, to przyznać musicie wyższość rodu ptasiego nad innymi stworzeniami bez duszy nieśmiertelnej, bo one jedynie z całej przyrody w małżeństwie całe życie żyją. — Stwórca przeznaczył te lotne żyjątka za przykład pożycia małżeńskiego, udzielił im rozkoszny śpiew, ubarwił różnemi kolorami ich pierze, dał im urocze kształty i nieporównaną gracyę; czy te powabne zalety nie zasługują na pierwsze

miejsce w przyrodzie?... Niech sobie kto naturę wystawi bez ptaków i kwiatów, czy ona będzie mieć te powaby, czy ona będzie budzić wyobraźnię poetów, czy nam przedstawiać się będzie tak rozkosznie jak teraz? O nie — bez kwiatów byłaby puszcza, bez ptaków panowałaby cisza grobowa! A dalej kto poznał ich życie ogółowi zasłonięte, kto poznał ich przywiązanie, rozum, czucie, przebiegłość, niepojętą pamięć, te ogromne namiętności w tych drobnych stworzeniach, ten ich pewnie umiłuje, ten ich życie badać będzie; a ja ich towarzysz, co ich podsłuchuję i szpieguję, starać się będę zdarzeniami udowodnić rzeczywistość mych spostrzeżeń, które się tu wydać mogą jako płody chorowitej wyobraźni ornitologa; dowodzić dalej nie omieszka, że w całej przyrodzie tego podobieństwa nie znajdziemy z ludzkością jak w ptakach. Najszlachetniejsze nam znane stworzenia jak lew, tygrys, jeleń, koń i pies, odbywszy zwierzęce powinności, już o samice niedbają; opisy obrony młodych lwów, tygrysów przez samce, zapełniają stronnice powieściopisarzy i podróżnych, zajmują wyobraźnię czytelników — mają tylko jedną wadę, że są nieprawdziwymi! Zwierzęta ssące nie żyją w małżeństwie, zapłodniwszy samice zostawiają im wyłącznie całe trudy wychowania młodych i nie troszczą się wcale o nie do przyszłego roku, przeciwnie w ptakach, oprócz powyżej wymienionych gatunków, które jako wyjątki uważać należy, wszystkie ptaki są połączone węzłem małżeńskim, biorą równy udział tak samiec jak samica w wychowaniu piskląt,

i jeżeli utrata ~~jednego z nich~~ lub nadzwyczajny wypadek nie rozerwie parki, pozostanie ona razem do śmierci.

Co jeszcze ciekawszym, a jeszcze mniej znanym zjawiskiem, to, że brat z siostrą najczęściej stanowi sparowane małżeństwo, a gdy ojciec utraci samiczkę na wiosnę, wtedy odgania syna i gniazdo ściela z córką. To spostrzegłem kilkakrotnie u bocianów, pliszek i drapieżnych ptaków! Niejeden z czytelników uśmiechem wątpliwości zakończy czytanie tego ustępu, myśląc, że podobnych odkryć robić nie można. Nie jest to tak trudnym jak się wydaje, i tak na przykład w parkach widzimy jednoroczne, dwuletnie lub doskonale ptaki, jeżeli są nierównego pierza, pewnie wypadek rozerwał parę i dwa inne się sparowały. Ptaków wiele gatunków rodzinami wędruje i razem na miejsce lęgu przylatują, tam się dopiero na parki rozdzielają; widać zatem jak zawsze gniazdo odwiedzą, widać różność pierza a zatem różność wieku; dalej młode nie-doświadczone, inaczej gniazdo ścielą, niezgrabnie się do tego biorą, wszystko im trudno idzie i najczęściej mizerną budowlę uklecają. Innych gatunków samce stanowią przednią straż, to kwatremistrze tej armii wędrującej; samiczki z młodem jako delikatniejszy oddział później przylatują na miejsce wychowania; tam się odbywa powitanie, narady, świergotanie, często bójkki i swary, bo młode zarozumiałe, jak to i u nas bywa, słuchać rodziców nie chcą i wyzuwszy się z wszelkiego uszanowania, na kolebkowym gnieździe — gnieździe się upierają; koniec tego: że samiec sypaków, samiczka córki dobrze wyczubią i odgonią,



nie rade w bliskości swe nowe gospodarstwo zakładają. Miałem długie lata pliszek siwych parę, gnieździących się w płocie mego ogrodu, znałem ich zwyczaje, sposób słania gniazda, ich niezgody, przykre chwile głodu w czasy słotne, spostrzegłem nieraz z jakimi trudnościami walczyć musiały, aby pięcioro piskląt żarłocznych corocznie wychować; lecz życie im swobodnie szedło, kochały się bardzo, pomagały sobie wzajemnie, były pracowite i terminu przylotu i odlotu akuratnie dotrzymywały przez lat cztery. Aż tu roku 1855 przyleciał mój czarnogarlisty samiec na swoje miejsce, krzątał się, śpiewał i czekał; samiczka nie przyleciała, musiała w podróży zginąć; lecz młodzież zapomniawszy ten smutek w rodzinie, gwarnie i hałaśnie opanowała mój płot. Z początku ojciec jakoś smutny lata z dziawą, jak gdyby szukał swęj ulubionęj; potęm bójki nastąpiły, a koniec tego miłosnego zdarzenia — że pojał szarą jednoroczną samiczkę, a resztę odgonił.

Odstrzeliłem orłu karzełkowi (*Aq. pennata*) samicę starą z białym spodem; niedaleko tego miejsca gnieździła się parka dwuchletnich rdzawych orłów tego samego gatunku. Mój wdowiec (*było to jeszcze przed zniesieniem jaj*) po dwóch dniach żaloby, poleciał do dzieci, pobił syna i zabrał mu samiczkę, którą na swe gniazdo zaprowadził. Syn wdowiec niepokieszony, błąkał się całe lato po tysamym lesie. Podobnych przypadków despotycznego postępowania rodziców mógłbym wiele cytować, szczególnięj gdzie ojciec córkę pojmuje; rzadsze spostrzeżenia w odwrotnym stosunku, bo samiczka ma zawsze dosyć konkurentów.— To są wszy-

stko uwagi, aby złożyć dowody, że ptaki w przyrodzie stać powinny na pierwszém miejscu.

Przystąpmy teraz do podobieństwa, jakie napotykamy między ptakami a ludźmi. Weźmy najpierw despotyczne orły, nieznoszące równych sobie w rewirze, który opanowały; dalej remizy sikory budujące gniazdo jak długie kapciuchy na tytoń, istne tkanki mozolnej pracy; dalej zemstę drapieżnych ptaków, którą noszą jak murzyni miesiące całe, aż dokonają morderstwa; — namiętne miłosne dramaty, co nam corocznie odgrywają bociany; — te bójki coroczne samców batalionów (*machetes pugnax*), któreto ptaki jak żołnierze bez bitek żyć nie mogą; — przemysł rozumny szpaków, tych żartownisiów, co każdego do śmiechu pobudzają, gdy n. p. mierzą dzióbem jak cyrklem otwór dziupla i wymierzyszy dokładnie, dopiero wchodzą prowadząc za sobą samiczkę; — cóż nam dalej złodziejska srocza za liczne historye ludzi przypomina, gdy w zawieszonych sukniach wieśniaków, szuka po kieszeniach sera; a ten jastrząb co udaje myszołowa lub sowę, aby się go nie bały gołębie i tym podstępem życie sobie zabezpiecza; on pojał przed zaprowadzeniem giełdy, jak można oszukiwać i z drugich głępszych korzystać! Sojki wydrzeźniając inne ptaki, niepospolite konfuzye sprowadzają, to ustawiczny dla ptaków *prima aprilis*; a myśliwych jak bawią udając trąbkę, lub gonienie ogarów, to mistyfikatorowie, mogliby i w salonach się popisywać!... Dzierzby, gminnie zwane srokaczami, co się uczą naśladować śpiew tych ptasząt, które pokonać mogą i śpiewając zwabiają w zasadzkę łatwowie-

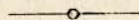
ofiary... Cóż dopiero za rozczulające przykłady mamy pamięci i przywiązania ptaków, które mimo wędrówek w oddalone kraje, po upłynionym roku, swych dobrodziei poznają!... Cóż powiedzieć o tych samcach, co po utracie samiczek z żalu giną!... Wierzajcie mi, że w rodzie ptasim napotykamy wszystko, co w naszych miastach i wsiach ludzie czują i myślą, z tą różnicą, że nie mówią i skrycie żyją, a jeżeli pozwolicie, to następnie przykładami potwierdzą, co tu powiedziałem.

Wstęp mój zaiste długi, może przy wystąpieniu narażam się, iż czytelników zniechęcę, lecz że ja w moim zawodzie przyzwyczajony, aby mało brało udział w mej nauce, zniosę i to bez szemrania. Zamierzyłem wam opisać naszego bociana, podnieść zasłonę przykrywającą jego życie, czyli, jeżeli się tak wyrazić mogę, stronę moralną jego życia; lecz to na dzisiaj byłoby za wiele. Wolę zatem podzielić rzecz na mniejsze części i posyłać wam jak lekarstwo ważne aptekarską wagą, które atwiej zażyć można, krótkie artykuły naukowo nienaukowe: o bocianie — o pamięci, rozumie, uczuciu i instynkcie ptaków — o wędrówkach i zmianach miejsc pobytu, o kukułce lekkomyślniej i o różnych mało znanych zjawiskach mych ulubionych lotnych towarzyszków.

Dni temu dwa zanucił pierwszy raz słowik harmonijnie, wzdychając za samiczką w podróży, lecz umilkł znowu, śnieg pada, zimno, wietrzno. — Nie wołaj jej luby śpiewaku, ona w ten czas podróżować nie może, trzeba i tobie w naszym kraju cierpliwości. Śnieg i deszcz majowy miną, słońce zaświeci, a z pomyślnym wiatrem nadleci ci samiczka. Czekaj cierpliwie

miły harmonijny ptaszku, który twym śpiewem tyle strón w naszym sercu poruszasz i w rodzie ludzkim mówią, że kto umie czekać, doczeka się tego — czego pragnie! Twoja samiczka nadleci, ty jej jeszcze nucić będziesz całe kwieciste miesiące Maj i Czerwiec, ty wychowasz pisklęta, równie jak i ty melodyjnie śpiewające, ty z niemi polecisz do ciepłych krajów, gdzie śniegu, zimna i głodu nie doznacie, a nas tu zostawicie zawsze czekających co roku, za wami, jako za zwiastunami wiosny tęskniących, i my tak czekać będziemy, dopóki każdego z nas śmierć nie zaskoczy, a tymczasem nuć nam te smutne dumki luby słowiku!

Wolica 4 Maja 1857.



Oddając do druku zapiski ornitologiczne o Bocianach i Jaskółkach, pisane w roku 1857, nie chcę ich cechę, wyłącznie ornitologiczną zmienić w powtórnym wydaniu. Winienem tu wyrazić moją wdzięczność zasłużonemu publicyście ś. p. Maurycemu Mannowi, wówczas Redaktorowi pisma *Dodatek do Czasu*. On bowiem mnie zachęcał i w mych próbach podtrzymywał,

i jeżeli prace moje postępowały i rozrastały się w rozmiarach, przyjmując ozdobniejsze ramy, Jego to zasługa. — Lat dwadzieścia badań dostarczyły nowych spostrzeżeń, które zamierzam w adnotacjach umieszczać, aby dawniej całości nie przerywać i jednolitości nie szkodzić.

K. W.

Olejew 28 Grudnia 1876 r.

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

© BOCIANACH.

I.

Bocian biały (Jundz). *Ciconia alba* (Linn). *Der weisse Storch*.
La cigogne blanche (Buff). Gminnie: *Bociuś*, *Bociiek*.

Ptak żalobny, czarny z białem, któż go nie zna? Dziób długi, silny, koniczny, nogi czerwone; rozumny, pełen zastanowienia, nie zna pośpiechu oprócz do ucieczki; smętny i zawsze dumający; kocha namiętnie, lecz li samiczkę swoją; dzieci wychowuje troskliwie, lecz bez czułości, postępuje z nimi jak ojczym lub opiekun; nie zna słabości, surowy nad miarę w nauczaniu ich czystości na gniazdzie, a szczególnie w wypędzaniu na zarobek i we wprawianiu ich do górnego lotu. Bo młode bocianki już rozumne ptaki: długo udają niedorostków, niby to zlecieć nie mogą z gniazda, i dobrze z tą wygodą pasibrzuchom; matka pobłąza i broni ich, bo to



wszędzie to samo; lecz ojciec to jednego szturknie, to dzióbem podniesie, tego znowu trąci, tamtego na krańcu gniazda wypchnie; nareszcie gdy już sama samiczka się przekona, że piecuchów wychowała, nie broni samcowi dokończenia wychowania. On też zaraz jedno strąci, wszystkie się za nim podnoszą, stary im towarzyszy, latając pod nimi, i prowadzi ich na pierwszą lepszą łąkę lub nizinne pola; wszyscy siadają — i tym wymierzonym znanym nam krokiem, jak urzędnicy, co niby do bióra się spieszą, postępuje cała rodzina: on naprzód z głową spuszczoną, dziób pionowo ku ziemi wymierzony; młodzi go naśladują, samiczka pełna radości, o zerowaniu już zapomniała, głowę z karkiem przewraca na grzbiet, zakłapie dzióbem, opuści skrzydełka, chodzi pełna radości koło swych dzieci, dumna, że wydała takie boćki na świat! Bo to dorodne, laskonogie, dziób doskonały, jednego piórka nie brakuje! Samiec utopiony w swych obowiązkach, nie doznaje żadnego roztargnienia; tu im pokazuje glistę, tam żuka, tu znowu robaczka lub żabkę; młode łapia, wydzierają sobie, gonią się swawolnie, a jak znajdą węża, piskorza, jaszczurkę lub szczura, wtedy ojciec zabija, podnosi, jak gdyby ich chciał z tém oswoić, rzuca o ziemię, podzióbie na kotlety i faworytowi wolno ten przysmaczek zjeść, jeżeli mu drugi kawałka nie urwie... Po godzinie tej pierwszej nauki samiec z samiczką spędzają do kupy rozigraną dziatwę i przymuszają do podlotu. Żle to idzie z początku, lecz biada temu, któryby nie chciał podlecieć, bo ojciec się do niego spuści i tak dzióbem wyszturka, że zapomni o wygodach. Lecą nisko, radeby

usiąść — lecz tego nie wolno; za przykładem rodziców podlatują coraz wyżej i wyżej, dopiero gdy wiatr mają pod sobą, zaczynają za samcem koła toczyć pod obłokami. Ta gimnastyka trwa niedługo, spuszcza ją się wszyscy, bo zjeść coś trzeba i na gniazdo powrócić przed wieczorem. To się powtarza codziennie przez ośm dni, po którymto czasie już na gniazdo nie wracają, bo się młodzież rozrosła i miejsca już zamało. Więc czasem rodzice sami, czasem z ulubionym dzieckiem nocują, a reszta po pobliskich dachach lub staropienych drzewach umieszczać się musi, bo to już sierpień, podróż uciążliwą niebawem rozpocząć wypadnie. Co wszystko widzieć może badacz między 15 lipca a połową sierpnia każdego roku; a tu umieszczę krótki opis lęgu i wędrówek bocianów.

Bociany dają nam jak najoczywistszy dowód, że nasz klimat corocznie zimniejszym się staje, a szczególnie, że co roku wiosna bywa późniejszą i niepewniejszą; co znaczy, mówiąc wyraźniej, że nas wiosna oszukuje i bałamuci, bo tak jak dawniej, tak i teraz ku końcu marca lub na początku kwietnia słońce przygrzewa i skowronki unosząc się pod obłoki, śpiewają nam wiosnę, lecz następujące śniegi, deszcze i przymrozki przekonują, że w Polsce wiosna, to pora oryginalna, mieszaniec zimy i lata z akompaniamentem bezdenne błąta, pora od kilku lat najszkodliwsza dla ogrodników i gospodarzy, najniebezpieczniejsza dla wędrujących ptaków. Od lat siedemnastu utrzymuję sumiennie dziennik przylotu i odlotu ptaków, jeżeli się tak wyrazić mogę, kalendarz ornitologiczny. W tym

spisie każdy gatunek ptaka ma zapisany dzień przylotu, dzień, w którym zaśpiewał, zaczął ślać gniazdeczko, zniósł jaja, wychował pisklęta i dzień, w którym odleciał. Dziennik ten wiele mnie nauczył, jako ornitologa; lecz i gospodarzowi jest dziś pomocnym, gdyż często nadzwyczajne zmiany atmosfery w adnotacjach umieszczane bywały. Na tym moim kalendarzyku i na ciągu spóźnionym i teraz już mniej uregulowanym ptaków, opieram twierdzenie wyżej wyrażone, że, po prostu mówiąc, wiosna jest od kilku lat nieznośną, i pewnieby żadnego poetę nie zachwyciła — i gdyby taką dawniej bywała jak teraz, nie mielibyśmy tak rozkosznych jej opisów.

Otóż przed laty dziesięciu termin przylotu bocianów był między 24 marca a 4 kwietnia i sumienie terminu dotrzymywały, wprawdzie nieraz przypruszone śniegiem i ostremi wiosennymi krupkami. Od roku 1847 czytam w moim kalendarzu: corocznie do 20 kwietnia zimno i śnieg; w roku 1852 śnieg padał trzy dni pierwsze maja; w roku 1856 20 kwietnia był mróz na 6 stopni, po którym śnieg spadł na pół łokcia; nareszcie tego roku w maju śnieg leżał trzy dni w lesie i na polu. Nie dziw, że nam się to sprzykrzyło, kiedy ród bocianów po niezliczonych nieszczęściach przeredzony (bo śmiało twierdzą, że od dwóch lat jest o połowę mniej bocianów, jak pierwój, taka ich ilość zginęła głodową śmiercią), naradziwszy się nad tą, co roku powtarzającą się rewolucją atmosferyczną, już tego roku spóźnił przylot.

Trzeba wiedzieć, że awangarda bocianów, złożona

ze starych samców, między które miesza się czasem doskonała (*adult*) samiczka, lub też druga nader czuła, nie chcąca opuścić ukochanego małżonka, przylatuje tydzień pierwój do nas na wiosnę, rekognoskuje miejscowość, stan wegetacyi, ilość żeru i stopień ciepła. Jeżeli znajdzie tego dnia wszystko podług ich potrzeb, rozlatują się po gniazdach i czekają na główne stada, złożone z samiczek i przeszłorocznych ptaków. Aryergarda znowu spóźniona o dni kilka składa się z najłabszych bocianów. Pierwsze stada nieliczne po 15, 20 do 30 bocianów, drugie po kilkaset i kilka tysięcy; lecą podług wiatru, który zawsze mieć muszą za sobą i nieco pod sobą wiejący w pierze; w wysokości czasem okiem niedościgłej, częściej zaś widziane. Gdy nad ojczystem miejscem przelatują, opuszczają główne stado te, które poznały rodzinne miejsce, czasem dwa, pięć, siedm, dziesięć bocianów. Korpus główny leci dalej, coraz się szczuplejszym stając.

Lat ostatnich trzy, uważałem nieraz krążącą awangardę, w czasie terminu przylotu, nad ziemią śniegiem okrytą i niespuszczającą się wcale. Zdaje się, że rozumne ptaki spostrzegły zimę w Polsce zamiast wiosny, odleciały napowrót, aby przestrzedz główny korpus kochanek, że się wstrzymać jeszcze trzeba. Mimo całego ich rozumu, tryb lęgowy, instynktowa potrzeba rozpoczęcia wędrówki naraża ich na wielkie niebezpieczeństwa. I tak roku 1855 i 1856 większa część awangard zginęła, w górach z zimna, u nas z głodu; gdyż przelatując przez pasma gór naszych, jak śnieg gęsty zaczął sypać, nie mieli siły do dalszego lotu i zniesie-

nia coraz powiększającego się mokrego ciężaru na pierzu, spuszczać się coraz niżej, aż zalecieli do wysokości drzew, gdzie już nie mając siły do podlotu, ginęli marnie setkami. Przyleciawszy do nas, równa ilość ich zginęła; z początku główne pożywienie znajdowali w żabach, lecz gdy mróz wodę ścinał i ziemię, ani żaby, ani myszki złowić nie byli w stanie; obrywali listki szuwarów i innych zielonych roślin na bagnach, lecz to pożywienie ledwie dni kilka przy życiu utrzymać ich może, a gdy wiosenna zima trwa tydzień, zdychają z głodu, bo głód przy zimnie to straszliwa trucizna. Najciekawsze były dla mnie spostrzeżenia, gdy odkryć mogłem odznaczające się zdolności w ptakach tego samego gatunku. Naprzykład pamięć, wysoki stopień przywiązania, zastanowienie i doświadczenie, to są zalety, które u pojedynczych ptaków napotykamy jak u ludzi, i to jest rozum. Zaś praktyczne zastosowanie się do potrzeb, radzenie i pomaganie sobie wzajemne, to są zbiorowe zdolności wszystkim właściwe i wrodzone, i te różniamy od odznaczających się zalet pojedynczych, to jest *instynkt*. Lecz i w instynktach są niektóre odznaczające się, i tak naprzykład: gdy w roku 1852 śnieg w maju począł padać, już niektóre samiczki na jajach siedziały. Pierwsze dni cierpliwie przetrzymały; samce mozolnie donosili żer. Lecz później opuścić musiały gniazda; błąkały się biedne ptaki po całej okolicy, szukały wpośród zabudowań schronienia i wiele ich zginęło. W jednej z moich wsi zbiegło się dziesięć nieszczęśliwych bocianów na błonie. Biegały, radziły, w kupce dla ciepła się trzymając. Wtém przelatuje bocian, chwilę

z niemi pogawędził, całe stadko się zerwało i znikło mi z oczów. Jakie było moje zadziwienie, gdy po obiedzie jadąc na folwark, spostrzegłem moich jedenastu bocianów w głębokiej trzcinie nad cieplicą zielonym szuwarem obrosłą, ciasno skupionych dla ciepła, żywiących się tam roślinami i skorupiakami! W tym obozie przetrwały trzy dni; bieda minęła i wszyscy na gniazdo wrócili. Jaja były zaziębione, gniazdo mokre. Trzeba było jaja wyrzucać, gniazdo poprawiać, świeże jaja znosić, z czego się samce mimo biedy cieszyły, bo mocno kłapały, i samiczki to familijne nieszczęście zniosły filozoficznie, dowodem tego, że w tydzień później znowu każda na świeżych jajach siedziała. Czy ten wypadek nie dowodzi jasno, iż bocian odkrywszy żerną zaciszę, zawołał towarzyszy i to rozumne stadko w tym obozie przed śmiercią, jaka innych trafiła, ocalone zostało. A że to okolica bogata w stawy i okiem nieprzejrane przestrzenie trzcin, wszystkie mogły sobie podobne obozy porobić, lecz nie wszystkie miały ten rozum.

W roku 1868, jak to zwykle bywa, zawodna polska wiosna zawitała: początek kwietnia odznaczył się ciepłem i spokojną temperaturą, licznie więc wesołe ptactwo nadlatywało i rozgaszczać się poczęło. Koło 12 kwietnia złowrogie chmury gromadzić się poczęły, wiatr zawył, płatki śniegu zabieliły w powietrzu, przeplatane krupkami i niebawem wiosenna ponowa pokryła ziemię, będącą już w swój zielonawej sukni. Poptoch i lament straszliwy w świecie ptasim: owadożerne cisnęły się do mieszkań i stajen, inne w lasach szukały

schronienia, a część znaczna szukała wód i bagien, aby zarodkami różnorodnemi głód przygłuszyć. Słonki były nader licznie nadciągnęły i pomimo niesprzyjającego powietrza polowałem na nie z obawy, że odlecą. Na wrzębie pięcioletnim, jeszcze wysokimi trawami zagęszczonym i sitowiem przerosłym, szedłem rzędem z naganaczami, gdy nas wszystkich strzelców i naganek nie spodziewany obraz zatrzymał. W niewielkiem oddaleniu od nas stało w kilka rzędów ustawionych 50 bocianów tulących się do siebie, dozwoliły przystąpić o kilkanaście kroków i dopiero z wielkiem wysiłeniem rozpostarły skostniałe skrzydła, podniosły się, podleciały i usiadły na tym samym wrzębie. Zdaje się, że mądre ptaki wyrozumowały, iż w tym gąszczu zimno im nie dokuczy, a kałuże potworzone topnięciem śniegu dostarczą potrzebnego pożywienia. W tym bezpiecznym obozie pozostały przez dwa dni, i gdy zawitało słońce, zabrały się w dalszą podróż, bo to musiały być obce bociany.

Téj saméj nieszczęśliwéj dla ptactwa i gospodarzy wiosny, pięć bocianów schroniło się pod stertę dużą i długą siana, dnia drugiego przywołały sobie jeszcze dwa i razem w siedmiu tę straszłą kwarantannę odbywały. Istna to była zawierucha, wicher kręcił śniegiem, zwijał go i tłukł tą mokrą chmurą o przedmioty; bociany według wiatru chroniły się to z jednéj, to z drugéj strony sterty, przytulając się do siana i doskonale według zmian powiewu umiały chronić pierze przed zamoknięciem. Raz na dzień, widać głodem zmuszone, po dwa lub trzy kroczyły ku brzegom płynącej rzeczki,

tam szukały pożywienia i spieszyły pod stertę. Stojąc, każdy bocian jedną nogę podnosił i ogrzewał pierzem, a jak pierwszą ogrzał, drugą chował w pierze. Ta gromadka w bezpiecznym porcie kilka dni wiosennej zimy przetrzymała szczęśliwie i rozleciała się po gniazdach, gdyż to były nasze bociany.

Te wzajemne usługi oddawane co do zera, kryjówek, w napominaniu wzajemném do bacznój ostrożności, przestrzegania przed niebezpieczeństwem, często bardzo widzieć można niemal w każdym gatunku, oprócz u drapieżnych ptaków pełnych sobkostwa (i to sępy wyjątek stanowią, wspomagając się wzajemnie). Szczególniej częste są zaś te cnoty u ptaków gromadnie żyjących. U nich, jako u nas, są to tak nazwane dobrze, dobroczyne dusze, pełne poświęcenia, zawsze gotowe do świadczenia usług; żałuję bardzo, że nie mogę powiedzieć, czy to poświęcenie większe u samic jak u samców. Otóż roku 1855—1856 większa część awangard zginęła; przez tę stratę ilość bocianów zmniejszoną została. W tych dwóch latach, niemal każda samiczka z synem lub młodym jednorocznym samczykiem pobrać się musiała; wdówek było bardzo wiele, ale się niebawem pocieszyły z młodszymi i jak się zdaje, już o stracie mężów zapomniały, mimo to znaczna część gniazd dotąd pustych stoi. Tego roku doświadczeniem smutném nauczone bociany przyleciały w awangardzie dopiero 11 i 12go kwietnia, główne korpusy 20 i 22go kwietnia.

Roku przeszłego cieszyły mię niezmiernie listy, które od znajomych z różnych odbierałem stron z za-

pytaniem: dlaczego bocianów niema, co się z niemi zrobiło? Cieszyło mnie, że za naszymi bocianami tęsknił szlachcic, tęsknił i wieśniak; radowałem się, gdy chłopiek smutnie spoglądał na opuszczone gniazdo na swojej stodole i mówił mi: Panie, będzie źle, bocianów niema! niejeden się markocił, że ma puste gniazdo, bał się ognia i gradobicia. O, to dobrze, że my jeszcze tęsknimy za bocianami, jak tęsknili dziady i ojcowie nasi, bo bociany to słowiańskie ptaki, to nasi sielscy opiekunowie, to dla rolników zwiastuny wiosny. O, nie opuszczajcie nas! któż za wami w Europie tęskni, kto was szanuje, któż się z waszego przybycia tak raduje, jak słowiańskie ludy!... Wy powinni opuścić cywilizowane Niemcy, zadymioną Belgię i hałaśliwą Francję, zlecieć do nas na obszerne łąki i bagna, opuścić te kraje nibyto postępu, gdzie za trzy krajcary *Büchsenspanery*, *Waldjungi* i *Hajdelaufry* strzelają was niemiłosiernie; gdzie obsuszili łąki i jak gdyby z was zartowali, zalewają je znowu wodą. Was te irygacye nie oszukują, wy wiecie, że to nie bagna prawdziwe! Co tam dla was za żer być może, gdzie zpod nosa wam żaby wyłapują i zjadają, gdzie na was obelgi rzucają, że wy lasom szkodzicie, że tępicie zwierzynę; a pożytek co im dajecie, o tym chciwi ludzie milczą. Wy rozumne i nam sympatyczne ptaki, wy już wiedzieć powinniście, że tam przyroda przed sztuką ginie, jak indyanin przed anglikiem, że tam człowiek naturę przekształca, że tam dla was już niema swobody i bezpieczeństwa, i dla nas równie, co przyrodę miłujemy nad wszystko, lecz tę przyrodę, co Bóg stworzył, a nie tę, co ludzie rozu-

mem przerobili. O, wróćcie licznie do nas słowiańskie ptaki, wy się może trwożycie przed latającą po kraju maszyną dymiącą, która wam wrogów przywiezie? Nie bójcie się, u nas ona wszędzie ani biegać ani też dymić nie będzie; nasz kraj duży, a sąsiednie jeszcze większe, tu przez długi szereg lat będą obszerne mokre łąki z obfitemi żabkami, łąny szerokie zaludnione myszami, a co żuków, co pędraków i co chrząszczy, które nam takie szkody robią, wy tego wyjeść nie możecie, a bądźcie pewni, że dopóki tasama krew w naszych żyłach płynąć będzie, dopóki szanować będziemy dawne pamiątki i zwyczaje, dopóki w kraju wychowywać się będziem, dopóty was pewnie szanować nie zapomnimy; za wami każdej wiosny zatęsknimy, a każdej jesieni smutnie przy odlocie was pożegnamy; a ja, co wasze życie poznałem, który podziwiam wasz rozum, waszą pamięć, doświadczenie, wasze szczytne małżeńskie przywiązanie, wasz pociąg do nas i zaufanie, ja was śpiewać nie będę, bo nie jestem poetą; lecz co odkryję, to opowiem, aby was dalej kochano jak dotąd i szanowano, bo wy nasze boćki!..

W naszym kraju w pierwszej połowie maja już wyreparowane gniazdo bocianie i w niem leży 3 do 5 jaj zupełnie białych, lecz to liczba wyjątkowa, najczęściej bywa ich cztery, które samica w czterech tygodniach bez pomocy samca wysiaduje; on zaś czuły małżonek donosi pożywienie, szuka dla niej przysmaczków, powiększa gniazdo, podnosi jego krańce dla bezpieczeństwa, czasem przyniesie trochę kłaków, szmatkę, mchu kawałek, zatka dziurę, położy jój poduszczkę, ażeby

sparła sobie zmęczoną główkę, i cały czas rozlicznymi usługami daje dowody nieustającej pamięci. Po 30 dniach wykluwają się pisklęta, ohydnej brzydoty, lecz to zawsze dzieci, więc radość wielka, a gdy ostatnie się wykluje, podnosi się samica w południe gdy ciepło, część skorupki zjada, resztę potłucze i wyrzuci; staje na gnieździe, prostuje skurczone członki po miesiącu bez najmniejszego ruchu; poczem jak gdyby nam wszystkim ogłosić chciała szczęśliwie odbyty połóg, nie mając armat do hałasu, głośno zakłapie dzióbem. Samiec zwabiony tym znanym głosem (bo to śpiew bociana), siada na gnieździe, przypatrzy się chwilę ruszającym się poczwaram, zakłapie z radości i dopiero oboje wtórują sobie kłapaniem, to raz wydają grubszy głos, kłapiąc dzióbem horyzontalnie trzymanym, to znowu przewróciwszy dziób z karkiem na grzbiet, kłapie donośnie minut kilka; tym koncertem uwiadomiamy nas i sąsiadnych bocianów, że się rodzina powiększyła. Czy to nie przypomina inseratów w gazetach pruskich położnic tamtejszych?

W pierwszym tygodniu donosi samiec robaki, drobne żabki, pijawki, węże i piskorze, które przed niemi kawałkuje, chrząszcze i ślimaki bezskorupne lub z miękką skorupą, a samica li w południowe godziny na żer odlatuje i wtedy samiec ją zastępuje; w innych godzinach siedzi przy nich lub na nich, aby delikatne pisklęta nie zaziębić, które rosną jak baby na drożdżach. W pierwszych dniach lipca siedzą już młode upierzone bociany, w połowie tego miesiąca już opuszczają gniazdo, na ś. Annę niemal już wszystkie latają. Bocian

zabawnie uczy pisklęta, aby na gniazdo nie łąniły jak tylko podrosną; póki zaś młode, dopóty często samica dzióbem wyrzuca, lecz tam wielkiej czystości przecie niema, bo to młode żarłoki. Później podnosi dzióbem pisklęta ku krańcu gniazda i przymusza do odbicia potrzeby poza kraj kolebki, a gdy pisklęciu przypadek się zdarzy, ona go za karę wyszturka. Kto téj oryginalnej dresurze miał sposobność się przypatrzeć, ten sobie musiał przypominać mamki i piastunki na spacerach publicznych. Te ptaki tak się całym swym życiem od innych różnią, że w głównych jak i w najdrobniejszych zwyczajach bocian do żadnego innego ptaka nie jest podobnym. Tak samiec jak i samica ustawicznie naprawiają gniazdo i powiększają go. Jak głód zaspokoiony, on znosi materyały i budują przez cały czas lęgu. Lecz co dziwniejszem jeszcze jest spostrzeżeniem, że kiedy inne ptaki raz opuściwszy gniazdo, już się nie troszczą i do niego w tym roku nie powracają, bociany do ostatniej chwili utrzymują porządek i w zupełnie dobrym stanie opuszczają w jesieni gniazdo, jak gdyby mieli istotnie myśl o powrocie na rok przysły i pamiętali, że to mało czasu zostaje do wiosny na reparacye. Przy budowie i ciągłych poprawianiach zachodzą jak najzabawniejsze sprzeczki. Ileż to razy widziałem, jak samiec gałązkę lub inny kawałek wbudował, a ona wyjęła i gdzieindziej włożyła, lub też gdy on obstawał przy swoim planie a ona przy swoim, trzymali oboje ten materyał i wydzielali sobie wzajemnie, aż nareszcie jedno przemogło. Często bardzo samiec przyniesie i ułoży, ona nibyto posłuszna mał-

żonka temu się nie sprzeciwia, a jak odleci, samiczka zaraz wyjmie i ułoży podług swojej woli, i znowu spokojnie siedzi, kontenta, że na swoim postawiła. Te sprzeczki, a czasem kłótnie przypominały mi nieraz małżeńskie rozprawy o ustawieniu mebli w salonach. U nas tak samo się dzieje, bocianica to w pierzu kobieta!

Roku 1854 na gniazdo méj stodoły przyniósł bocian dużą szmatę, zdziwiona samica podniosła się, wzięła dzióbem za jeden koniec, on trzymał za drugi i jak gdyby gazetę czytali, chwilkę postali, dumając, co z tym materiałem zrobić; rzucili nareszcie na kraniec gniazda, samiec dzióbem zwinął szmatkę i z pomocą samiczki w krawędź gniazda wpakowali i znowu spokojnie dalej siedziała. W tych sprzeczkach o urządzeniu sypialni i dzieciarni tyle widać życia, że oka oderwać nie można, bo to i zastanowienie jest i dyskusya, a próby i dopasowania bez końca. Jak łatwo spostrzedz można, kiedy zadowolniona samiczka z przyniesionego daru, odbiera go, dzióbem pieszcząc samca, jak znowu łatwo widzieć, gdy obojętnie spojrzy i nie raczy nawet dotknąć przyniesionego kawałka materiału lub pożywienia.

Bociany różnią się jeszcze swą wędrówką od innych pokrewnionych gatunków. Najczęściej wędrują one w dzień, kiedy większa część ptaków wędruje w nocy. Wieczorem zasiadają, szukając żeru; później umieszczają się po budynkach, grubopniowych drzewach, a jak niema tego, nocują na ziemi. Dopiero gdy pora późna lub wiatr pomyślny, wtedy lecą dzień i noc nie spoczywając, jak przez czas potrzebny do zaspokojenia głodu

i dla odpoczynku. Nasze bociany nie spieszą się w wędrówce, będąc już na zbiorowych miejscach, gdy jest obfity żer i tydzień cały bawią, poczem się skupiają i znowu na oznaczone miejsce lecą, aby kilka dni wypocząć i pożerować; z północy zaś lecą bociany w sierpniu z wielkim pośpiechem i ledwie chwilkę odpoczywają.

Gdy w połowie sierpnia zaczynają się u nas gromadzić bociany, wtedy są najciekawsze do obserwowania. Na wielu gniazdach dorosłe już bocianki przez tydzień cały próbują skrzydełek, śmieszne są zaiste te ewolucyje; czworo boćków rozpościera skrzydła, a nie mając dosyć miejsca na gnieździe, trącają się i spychają wzajemnie; gdy niebezpieczeństwo spadnięcia się wzmacza, każdy szuka równowagi i spokojność na chwilę przywrócona; lecz niebawem najstarszy próbuje jedno skrzydło, które swą nogą rozpycha jak tylko najwięcej może, tak dalece, że nakrywa braci i siostry, potem tak samo postępuje z drugim; rodzeństwo zazdrosne naśladuje starszego i znowu equilibrium stracone. Jak skrzydła już dobrze wypróbowane, a rodzice przez dni kilka nad gniazdem dla przykładu i zachęcenia toczą koła powietrzne i próżniakom młodym już pożywienia nie przynoszą, aby ich do lotu zmusić, wtedy podrywają się bocianki na kilka stóp w górę i spadają na gniazdo i to jeden po drugim; później podnoszą się na kilka łokci, aż nareszcie najodważniejszy puści się lotem na sąsiedni budynek, za nim puszcza się drugi i całe rodzeństwo, a spróbowawszy jeszcze raz skrzydeł, czy się na nie spuścić można, bo to zawsze roz-

ważne ptaki, podlatują nareszcie ku samiczce kołującą nad niemi i wszyscy razem koła toczą i powracają spocząc, jak już wyżej opisałem. Młode bociany zawsze rozróżnić można od doskonałych ptaków: są mniejszych rozmiarów, dziób ciemny i nogi od łąjna gniazdowego skalane, mimo surowości rodziców co do czystości; a to wapniste łąno tak jest jadowite, że się wgryza w obuwie nóg i parę tygodni téj farby zetrzeć nie mogą.

Zdarza się często, że najmłodsze piskląt wyklute o 5 do 8 dni później, istna sierotka na gnieździe zostaje, niespokojne, smutne, z opuszczonymi skrzydłami, przez rodziców zaniedbane i głodzone, stoi czasem i 8 dni na gnieździe. Wnioskuje, że to są późniejsze męczenniki, które gromady bocianów egzekwują na śmierć, uznając ich za niezdolnych do wytrzymania podróży. Pojedyncze bociany, widziane u nas później jak pierwszych dni września, są to te Benjaminsy, które uszły egzekucyi i albo uzyskawszy dosyć sił, przyłączają się do później przybywających bocianów z północy, lub też na pierwszych mrozach giną.

Te sierotki pochodzą z późno zapłodzonych ostatnich jaj, jedném słowem z excessu małżeńskiego; a że później starsi mu niemal całe pożywienie siłą wydzierają, rodzice zaś donoszeniem żeru i wychowaniem zatrudnieni, nie mogą dosyć pamiętać o sierotce, istnym kopcuszkę w familii bocianów, zostaje on najczęściej mizerną ptaszyną, którą ubiją bociany lub z zimna i głodu w jesieni zginie, a w najlepszym razie przez człowieka przezimowaną zostanie.

Ośm do czternastu dni pojedyncze familie tensam tryb życia prowadzą, oddane wyłącznie kółku familijnemu, a gdy już młodzież doskonale krąży i zręcznie czyli z pożytkiem żeruje, wtedy jak gdyby na umówione miejsca lecą *i tam w tym samym czasie z innymi rodzinami się spotykają*. Widzimy najpierw 12, później 18, 24, 30 i t. d. prawie zawsze szóstkami przybywają: dwoje starych, czworo młodych. Pełne zniesienie u doskonałych ptaków składa się z czterech boćków, wszakże nader często wychowują trzy, a nawet dwa, w szczególności w latach skwarnych bywają skąpe zniesienia, wyrachowane na brak żeru. Jestto niekiedy i powodem wyrzucania z gniazd jaj i piskląt. Rano zabierają się znajomości, młodzież osobno, starsi w innej stronie, jedni drugim się przypatrują, jak my na widowiskach publicznych, a gdy już pobratanie nastąpiło, wtedy te liczne rodziny poważnym krokiem przemierzają pola, szukając pożywienia. Ku wieczorowi wznosi się całe towarzystwo do lotu, krąży coraz wyżej, aż nareszcie pod obłokami wydają nam się jak ptaki wielkości wrony i znikają z widnokregu.

Niechże nikt nie myśli, że to już odlot, bo tak nie jest; każde grono familijne po tych przygotowawczych manewrach powraca jak na ostatnie pożegnanie do gniazda, tam wszyscy wieczór i rano chórem zakłapią, bo młode bociany dotąd nie kłapały z niewykształconym dzióbem. U młodych kłapanie znaczy termin ich usamowolnienia; wtedy gdy silnie wraz z rodzicami zakłapią, dopiero są uznani za pełnoletnich! Rano spiesząc na zbiorowe *rendez vous*, czyli staw się, i to trwa

dni kilka; w czasie tych cząstkowych zbiorów już się zdarzają pojedyncze egzekucye, prześladowanie niedorodków, stronienie od tych nieszczęśliwych pariasów, i dopiero po ćwiczeniu codziennie odbytém, wznosi się gromada złożona z 20, 30 do 40 bocianów podług tego, jak licznie w bliskiej okolicy się gnieździ i znowu jak gdyby na umówione miejsce lecą i zastają jedne lub dwie gromady równie liczne. Na tych liczniejszych zborach odbywają się ceremonie, znajomości, ćwiczenia powietrzne, a jeżeli się już uznają za skompletowany korpus, wtedy wybierają się w podróż lub też ciągną na miejsca większych towarzystw, bo pewna liczba, jak się zdaje, jest potrzebną, aby rozpocząć wędrówkę, zupełnie jak furmani, którzy najpierw wszystkie miejsca powozu obsadzić muszą, nim z miejsca ruszą. Na tych sejmikach musztrują się wzajemnie, próbują w powietrzu sił swoich i to widocznie stare bociany są nauczycielami; widać ich, jak się nasamprzód podnoszą, kołując w powietrzu, górują nad innemi, wznoszą się pod błękit nieba, przywołując młodzież do tych ćwiczeń potrzebnych niezbędnie, aby odbyć przyszłą podróż. Na tych ogólnych miejscach zgromadzenia, najczęściej na bagnistych łąkach, mokrych stepach lub nadrzecznych płaszczynach, bawią dni kilka, radzą, sejmikują, dzielą się na partye, każdego z osobna egzaminują, jednych zabijają, drugich odgonią, aż nareszcie w nocy lub do dnia bez hałasu znikają, a to tak cicho, że nigdy chwili téj zajmującej upatrzeć nie mogłem, mimo że późno wieczór temu zgromadzeniu byłem przytomnym.

II.

Pociąg bocianów do ludzi zaiste dziwny i niczém niewytłómaczony! Pojmuję, że wróbel, szpak, wrona do naszych mieszkań się zbliża, bo tam pożywienie te ptaki znajdują; lecz dlaczego bocian szuka naszych dachów, strzech i kominów, dlaczego się gnieździ w ogrodach na drzewach, kiedy pożywienia szuka daleko od osiedli ludzkich, na polach, łąkach i bagnach? Co jeszcze nas więcej zastanowić musi, że to pożywienie samiczce i pisklętom z takiej odległości nosić musi i nosi mozolnie, aby tylko pomiędzy ludźmi mieszkać. Nie robi tego bynajmniej dla bezpieczeństwa, bo on w przyrodzie niema wrogów; a gdyby lis lub wilk pożądał tego przysmaczku, to on zanadto przezorny i zanadto rozumny, aby się łatwo dał podejść. Gdy widzimy błota staropiennemi dębowemi lasami otoczone, pełne drzew dogodnych do usłania gniazda, gdy na tych błotach widzimy wiele żerujących bocianów i lecących do oddalonych wsi, wtedy musimy wierzyć, że te ptaki nas kochają, że z rodu lotnych mieszkańców one są

jakby od Opatrzności zesłane, aby sielską mieć nad nami opiekę! Gdy siadają w bieli na wierzchach krzyżów i zamiast ewangelicznego koguta, upiękniają znak Zbawiciela; gdy po wieżach i kościołach rozstawione te poważne ptaki widzę, jak siedzą spokojnie, zamyślane, z tą okazałą postacią, szanując te święte miejsca; jak poznałem stronę, że tak powiem, moralną ich życia, od tego czasu bociany są dla mnie wyższemi istotami, niż reszta ptaków; zdaje mi się, że są uposażone cnotami i wadami prawie ludzkiemi. Pojmuję uszanowanie, jakie one wzbudzały u starożytnych ludów; pojmuję, że Machometanie dla nich mają cześć; pojmuję radość tych, u których bociany się gnieźdzą, a nawet spokojność i wiarę tych, którzy z bocianami na dachach nie boją się nieszczęścia, a szczególnie dzieł smutek tych, których ci wiejscy przyjaciele opuścili. Gdy dla mojego zbioru potrzebowałem egzemplarzy kilka, nie miałem odwagi kazać je zabić, nawet w pewnym zdarzeniu, które później opowiem, a które moją ciekawość do najwyższego stopnia zaostrzyło, podchodziłem kilka razy stadko bocianów, aby którego zastrzelić, lecz gdy je już na celu miałem, jakiś głos wewnętrzny nie dozwolił mi strzelać.

Lecz nie ja sam tylko mam podobne usposobienie. Roku 1845 w jesieni, gdy bociany gromadzić się zaczęły do odlotu, przyszli do mnie chłopci (mieszkałem wtedy w Królestwie w Olkuskim) i mówili: »Panie, będzie źle, bo co to te boćki dokazują!« Ja im tłumaczyłem, że to każdej jesieni tak; lecz to ich nie przekonywało. Odpowiadali mi: »dyć to co rok latają, ale

co one się tak tłuką nad Krakowem i Galicyą, ztamtąd przyjdzie bieda.« W roku następnym stary Jędrzej cicho mi szepnął: »A co Jaśnie Panie, czy dobrze pokazywały boćki?« Roku 1847 podobne miałem zdarzenie, a w roku 1853 na Rusi chłopci gwarzyli między sobą, że bociany niespokojne: »znowu bude bida« — i jak wojska austriackie gromadziły się, wieśniacy sobie mówili: »oto boćki wojnę przepowiedziały.« Wiedząc o tych rozmowach, niemal jeszcze ciekawszy od chłopów, jak wojska rozpuszczono, zawołałem proroków wiejskich i mówię im: »ot widzicie, co to za durne było gadanie, kiedy wojny niema.« Jeden z nich mi naiwnie odpowiedział: »Panie! miała być i boćki ją przeczują, lecz tego ptaki wiedzieć nie mogą, że się cesarzowie pogodzą.« Cóż im było odpowiedzieć, ja się ucieszyłem, że oni wierzą w opiekę bocianów nad nami; bo to rzecz dziwna, lecz niemniej prawdziwa, że często (wiem to z własnego doświadczenia), gdy bociany opuściły gniazdo dawne na budynku, ten się powalił lub spalił; gdy opuściły drzewo z gniazdem na kole, w to drzewo albo piorun tego roku uderzył, albo też spruchniałe samo się wyróciło. Przeczucie tych ptaków podziwienie wzbudzić musi, również jak ich przezorność w opanowaniu gniazda. Ileż to razy widziałem, jak bociany rekognoskowały przysposobione gniazda, nie dowierając ich trwałości; jak samiec przyleciawszy pierwój, obleciał kilka razy, nareszcie usiadł; w kilka dni później sprowadził samiczkę i naradzał się; oboje siedli, chuścić się zaczęli, jak gdyby swym ciężarem siłę budowy wypróbować chcieli i mimo wielkiej ochoty,

mimo spóźnionego czasu, nie najęli mieszkania, bo nie było dosyć bezpieczne.

Przez wykarczowanie krzaków i wystających klinów lasu, powiększyłem pola i założyłem mały leśny folwark. Co tylko na wiosnę pokryłem stodołę, a już się zjawił pojedynczy bocian, siadał po sąsiednich budynkach i nocował zawsze na dachu nowym stodoły. Gdy jego zwyczaję poznałem, kazałem na narożniku dachu przymocować koło, narzucić perzu i suchych gałązek. Przez kilka dni mój bocian od gniazda stronił, nareszcie je zreknoskował, zajął i począł uzupełniać budowę krawędzi. Czy to był samiec, czy samica, z pewnością orzec nie mogę, wszakże przypuszczam, że był płci męskiej, gdyż nigdy brzuchem do gniazda nie siedział, w dzień i w nocy stał na jednej lub dwóch nogach. Osławiony to był szkodnik domowy, zjadł mi większą część kacząt pływających po stawku, kilkoro gąsiąt, za którymi po wodzie brodził, i złowił niemało kurcząt biegających po podwórzu. Ledwo go od śmierci uratowałem, tak wszyscy byli na niego zawzięci, bo to był rozumny ptak, godzin długich studyów. Nareszcie i ekonomowi i czeladzi sprzykrzył się szkodnik; ile razy drób gonił, płoszyli go, rzucali na niego bryłami i patykami. Zrozumiał nareszcie ptak i wyrozumował sobie, że albo to przyjemne miejsce wypadnie opuścić, albo też więcej szkody nie robić, i wytrwał w przedsięwzięciu, gdyż od tego czasu nie rzucał się na prywatną własność, w zamian szukał pożywienia na sąsiednich łąkach, bagnach i łanach, a nocował zawsze na gnieździe. W połowie sierpnia począł codzien krążyć, koła

toczyć i wznosić się pod obłoki, nareszcie nam około ś. Bartłomieja znikł. Na wiosnę roku następnego 1875 przyleciała parka białych, czystych, rzeczywiście eleganckich bocianów, doskonale wypierzonych. Siedli na dachu w drugiej połowie kwietnia i poczęli hałaśliwie dzióbami klekotać na znak zajętego na własność gniazda. Poprawiały i powiększały ustawicznie swe łoże, lecz zawsze tylko jeden bocian na gnieździe siedział. Żyły w czułym i zgodnym małżeństwie przez lato całe, wszakże jaj nie zniosły i odleciały pod jesień. Może być, że się mylę, lecz według mego zdania, stroniący od gniazda ptak był samiczką, która dostatecznego bezpieczeństwa gniazda nie uznawała i ta cała nowość budynku, pomimo przywiązania do samca, nie dozwalała jej wykonać obowiązków małżeńskich. Moja ciekawość była wielce zaostrzoną i cierpiałem niemało na znacznym oddaleniu tego folwarku, niedozwalajacem mi badać te ptaki codziennie. Roku 1876 powróciła moja parka wierne do gniazda, i jak gdyby lata już były, utrwaliły budowę, opanowała je, zniosła trzy jaja i wyprowadziła bociany na zimę do Indyj.

W roku 1874 przyleciał na gniazdo dachu owczarni znajomy od lat szesnastu bocian; nic mnie to nie dziwiło i nie trapiło, gdyż on zawsze leciał w awangardzie bez samiczek i spuszczał się nad Olejowem na gniazdo, które naprawiał natychmiast po przylocie. Znałem jego zwyczaję jak mego własnego ptaka; opanował wierzchowinę stawu i na tę przestrzeń, wyjąwszy rodziny, żadnego bociana obcego nie przypuszczał; na niej panował do pory, gdy plugi ziemię pod siew prze-

wracać poczęły i wtedy przenośli się na role zbierać pędraki, chrząszcze i myszki. Mój bocian codziennie klekotał, wołając powracającą samiczkę, gdy widział lub słyszał ciągnące ptaki, wznosił się do nich, szukał swą ulubioną, to znowu w okolicy odwiedzał spoczywające stada bocianów, lecz wszystkie jego usiłowania były daremne; maj minął, czerwiec barwisty rozpoczął swe panowanie, a bocianica nie przybyła. Smutny on był i poważny, z rezygnacją wdowieństwo znosił, gniazda nie opuścił, przeciwnie poprawiał i uzupełniał, a zawsze na tymże noc przesiadywał, nareszcie po żniwach przyłączył się do rodziny żerującej po bliskich łąkach i razem z nią powędrował do ciepłych krajów.

W roku 1875 znowu w terminie przyleciał, lecz sam, widać że swą żonę odszukać nie mógł; żył jak w roku przeszłym, mężnie na wiosnę bronił swe gniazdo przeciw napastnikom, wierny swemu wdowieństwu; przyłączył się do stada wędrujących bocianów i znikł nam z widnokągu. Dopiero w r. 1876 poślubił za granicą samiczkę, i gdy z kościoła powracałem, spostrzegłem z wielkim zadowoleniem parę bocianów, oznajmującą nam swe przybycie głośnym klekotaniem. Szczęśliwie wychowały dzieci i z nimi puściły się w dalszą podróż.

Ileż to razy mówiąc z wieśniakami, słyszałem te słowa: »Niech Jasnie Pan tego człowieka nie trzyma, on nieszczęście przyniesie, bo on strzela do bocianów;« lub też: »Jasnie Panie, ten w nic nie wierzy, kiedy bociany zabija i potem zjada.«

Na potwierdzenie czyli na wytłómaczenie tej wiary u naszego ludu, opowiem zdarzenie znane całej wschodniej Galicyi. W tarnopolskim cyrkule leży wieś *Zaźdrość*, od bocianów tak nazwana, zbudowana na początku przeszłego wieku, złożona z pięćdziesięciu chałup, które się dziwnie między sobą dotąd różnią. Wieś ta, wśród stepów odwiecznych i obszernych bagien, opanowaną została przez liczne pary bocianów. Gniazd tam bywało po 100 do 150, bo nie tylko na dachach mieszkań, lecz także na stodołach, stajniach i szopach bociany się gnieździły. Polując tam, rozmawiałem z mieszkańcami i dowiedziałem się szczegółów ciekawych. Od czasów, jakie tylko zapamiętać mogli najstarsi ludzie, było kilkanaście budynków, na których nigdy, mimo ludzkiej pomocy, bociany osiedlić się nie chciały i dotąd próżne i opuszczone stoją. Gospodarze posiadający gniazda zaczęli sejmikować, naradzać się i w swym głębokim rozumie uznali, że to muszą być niebezpieczni ludzie, kiedy im Hospody bocianami nie błogosławi; zaczęli od nich stronić, nie chcieli im pomagać, żaden córki takiemu nie dał i biedaki z przyczyny bocianów, mimo stawiania krzyżów, dawania pieniędzy na uproszenie tych ptaków, co rok więcej biednieli i dotąd pozostałe familie różnią się od innych. Z tegoż zdarzenia chłopci nazwali tę wieś *Zaźdrość* i tak ta nazwa już w przedostatnich geograficznych przemiarach utrzymaną została. Naturalne wnioskowanie, że bociany temu nic nie winny, lecz zawsze szczególny fakt. Pariasy wszelkimi sposobami chcieli uzyskać gniazda, później zniechęceni, opuścili ręce i podupadli, a bociany jak dawniej od tych chat

stroniły, tak stronią i dziś. Przed rokiem 1848 jeszcze $\frac{3}{4}$ zabudowań gniazdami okryte były; gdy te zimne i spóźnione wiosny nastąpiły, wielka część bocianów zginęła, a zatem wiele stoi gniazd opuszczonych, a inne już pospadały; zawsze jednak to miejsce odznacza się ilością bocianów.

Dłgie lata nie wierzyłem w opisy i opowiadania o krwawych egzekucjach bocianów, tak mi się bajecznemi wydawały; mimo méj niewiary, wyznać muszę, że im więcej poznawałem życie tych ciekawych ptaków, tém silniej moja ciekawość zaostrzoną była, szczególnież od lat dwunastu, w którychto latach, na miejscach zborowych, napotkałem kilkanaście zabitych bocianów. Między temi były małe i niedorodne, lecz i duże doskonałe ptaki; jedne miały okrągłe rany jak od kuli karabinowej, inne żadnego zewnętrznego znaku; czasem znowu oko wybite, pierze wyrwane i zmierzwione. Rzecz szczególna, że z téj wielkiej ilości egzekwowanych bocianów, które widziałem, *żaden nie był od ptaków i zwierząt drapieżnych zjedzonym*. Czy do tego mięsa miałyby wstręt, czyli też ten ptak w przyrodzie takie uszanowanie wzbudza, że nawet po śmierci szanują go drapieżne żyjątka, powiedzieć nie mogę; lecz zapisałem ten fakt, iż trupy bocianów giną wolną dekompozycją przez zgniliznę i robactwo, nawet w tych okolicach, w których wielka była obfitość żarłocznych i ścierwem żyjących zwierząt i ptaków.

Roku 1849 ulewne a długotrwałe deszcze spowodowały wylew Wisły. Wody z pagórków spadające w téj garbatéj okolicy krakowskiej, niemogące się po-

mieścić w korytach rzek, strumieni i potoków, zalały wszystkie łąki, błonia i niziny, do tego stopnia, że od Podgórza do Niepołomic jedno zwierciadło wody przedstawiało się oczom. Było to dla ornitologa prawdziwe żniwo badań i spostrzeżeń. Gdy powietrze z deszczem wschodnio-północnym dosyć mocnym wiało długo, ilość znaczna północno-wschodnich ptaków nadleciała, nie mogąc się oprzeć prądowi wiatru i rozkoszowała na tém sztucznie utworzoném kilkomiłowém jeziorze, ptaków u nas dotąd niespostrzeżonych; lecz to są konfidencye ornitologiczne, nienależące do tych opisów. Deszcz zaczął padać przed ś. Anną i padał do połowy sierpnia. Bocianów termin sejmikowania naturalnie opóźnionym został, bo to zarozumne ptaki, aby się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo narażały. Dopiero gdy woda ustępowała zaczęła, stada i stadka bocianów nadlatywały na zamulone niziny, dostarczające obfitego żeru dla wszystkich szcudlatych ptaków. Trzeba tu nadmienić, że między wielu miejscami zborowemi dla bocianów na brzegach Wisły, jest jedno ważne na płaszczynie Bierzanowa i Płaszowa; tam na błoniach corocznie odbywają się sejmiki przed wędrówką. Nie mogąc dla głębokości wody i znacznej przestrzeni piechotą chodzić, a znając jak najdokładniej dyrekcyę rowów, wozem i chłopskimi końmi podjeżdżałem ptaki dosyć blisko, które się wcale nie trwożyły przed tym zaprzęgiem i dozwalały mi wygodnie spostrzeżenia robić. Bociany gromadkami niezbyt licznemi nadlatywały około 20 sierpnia, i za każdą moją wycieczką więcej ich widziałem. Dopiero gdy woda zupełnie ustąpiła, jednego

poranku spotkałem kilkaset razem; bawiły dni kilka i najciekawszy widok przedstawiały. Zupełnie jak wojsko w obozie, tak moje bociany roztasowały się na obszerném błoni: tu stadko z 15 do 20 razem stojące jak gdyby w naradzie; tam gromadka z kilkudziesiąt złożona, szeregiem chodząc żerowała, widać że długą podróżą wygłodzona; w inném miejscu 6 do 7, oczywiście rodzina stroniąca jeszcze od towarzystwa; gdzieś pomiędzy hurmami pojedyncze bociany, oczywiście doskonałe ptaki, poważnym krokiem obchodziły hurmy jak dozorczy, warty lub na służbie ptaki, zamysłone jak gdyby cała organizacja bocianów i podróż w oddalone kraje na ich głowie spoczywała. Grupy powyż wymienione pomnażały się przybytkiem lub zmniejszały się ubytkiem, to z bocianów nadlatujących, to znowu z zabranych znajomości. Jedna tylko grupa przedstawiała ciekawy widok koteryi stroniącej od towarzystwa. Grupa ta, ile razy nie żerowały ptaki, złożona z 30 do 40 bocianów, rzędem opanowała wał od przekopów i godziny całe nieruchomie siedziały ptaki, istni widzowie tego obozu; nawet gdy krwawe egzekucye odbywano, te bociany nie brały w nich żadnego udziału i swego stanowiska nie opuszczały. Przez cały czas trwania zboru z innymi się nie pobratały, ani razu nie widziałem ich kołujących ani wznoszących się w powietrze, oprócz przelotów z miejsca na miejsce za żerem, zawsze były na tém samym miejscu. Oczywiście to bociany z odległych okolic, mające inne zwyczaje; zdarzenia tego nigdy ani pierwój ani później już więcej nie spostrzegłem. Każdego poranku wyjeżdżałem z lu-

netą i całe godziny siedząc spokojnie, patrzałem z niewyczerpaną ciekawością na te ptaki organizujące się jak rozumne istoty, a codziennym przedstawiało to zgromadzenie inny widok. W téj hurmie złożonej pewnie z 300 do 500 bocianów, było dosyć ptaków biednych, schorzałych, z nieczystém pierzem, z opuszczonemi skrzydłami, a co do wzrostu mniejszych od innych. Te ptaki istne Benjaminki, wyklute o ośm dni później niż drugie, głodzone przez żarłoczne rodzeństwo, na gnieździe wtedy tylko dorastają innych, gdy pora im sprzyja i zamieszkują miejscowość obfitą w żer. Po trzech dniach pojedyncze kółka nikły, gromady się powiększały, koło każdej hurmy chodziły pojedyncze bociany na warcie, li grupa moich bocianów siedzi niewruszona na wale przykopy i do samego odlotu nie pobratały się z towarzystwem. Czwartego dnia tego najlicniejszego zboru, jaki dotąd widziałem, spostrzegłem w rannych godzinach kółko kilkudziesięciu bocianów, w środku którego stał jeden z tych niedorodnych bocianów z opuszczonemi skrzydłami, niespokojnie spoglądający na wszystkie strony; wokoło egzekwenta bociany stały spokojnie, lub też przechodziły się, lecz koło zamkniętém zawsze było. Po pół godzinie wszczął się wielki ruch; już pojedynczych ptaków dojrzeć nie mogłem, tak gęsto się bociany kręciły, i niebawem w kilka minut wszystkie, jak za daném hasłem, z tego samego miejsca zerwały się i nisko nad ziemią odleciawszy kilkaset kroków, znowu spokojnie usiadły. Widząc biały przedmiot na miejscu opuszczoném, zabłysło w mój myśli wspomnienie o egzekucyi i pobiegłem zoba-

czyć. Zastałem zakrwawionego bociana z okrągłemi ranami od dzióbów na całym ciele, jedno oko wyklute miało i wiele pierza leżało wokoło. Cały dzień od tego dawniej ulubionego miejsca stroniły bociany do samej nocy, jakby trapione od wyrzutów sumienia i w obrzydzeniu przed trupem; drugiego dnia ciekawi aktorowie, którzy mi odegrali ten zajmujący dramat, odlecieli i mój teatr zastałem zupełnie pustym. Był to 1 września, już termin odlotu zatem spóźniony.

Roku 1850 podobną egzekucję widziałem naocznie, lecz ta się odbyła bez sądu i ceremonii. Była to sroga kara, spiesznie i z energią wykonana. Bocianów przeszło sto zerowało spokojnie na łące, w jednej chwili za przykładem starszego, jak się zdaje, szefa, który pchnął swego sąsiada dzióbem, cała gromada z wściekłością rzuciła się na biedną ofiarę i zabiła ją w oka mgnieniu. Ta zaciętość była tak rozjątrzona, że kilku bocianów leżącego trupa dzióbem kłuło, podrzucało naprzód, nareszcie do bliskiej fosy wrzuciło i tam jeszcze nogami trafoowało. Egzekwowany bocian musiał się dopuścić ciężkiej obrazy lub popełnić wielkie nieposłuszeństwo, bo wszyscy byli sędziami i egzekwentami. Naturalnie jako obecny ornitolog spisałem zaraz protokół, obejrzawszy zabitego bociana, który nie był wcale z tych niedorośliwych biedaków, owszem był wykształconym, dużym i silnym ptakiem. Po tej egzekucji, jak się zdaje zasłużonej i sprawiedliwszej od pierwszej, bociany wesoło ocierały dzioby i do samego wieczora pozostały na téjsamej łące, nie brzydząc się jak tamte trupem. To zdarzenie, jak i to co niżej opiszę, dowodzi,

że bociany nietylko zabijają niedorodnych i do podróży niezdatnych, lecz i takich, co obrażają władzę.

Ku końcu sierpnia, nie mam dnia zapisanego, r. 1844, krążyło liczne stado bocianów w powietrzu, a to tak zręcznie, z taką gracyą, że oka oderwać nie mogłem przez kilka godzin od tego zajmującego widoku. Patrzyłem więc długi czas, jak już stokrotnie robiłem, i byłem jak zawsze sowicie wynagrodzonym. Stado coraz się wyżej rozbijało; bocian jeden nie mógł im zrównać w tém górnem kołowaniu i krążył górowany gromadą bocianów; nareszcie uderzały na niego towarzysze coraz liczniej, spędzały go niżej ku ziemi; razami raniony bocian tracił równowagę, opuszczał skrzydła i szyję, w końcu upadł na ziemię. Bociany spuściły się za nim, usiadły w bliskości i na śmierć zadziobały. Po chwilce odleciały, pokrzyły nad trupem i dalej w podróż się puściły. To zjawienie jest tém ciekawsze, że się zdarzyło w okolicy górzystej, gdzie bociany gniazd nigdy nie ścielą; były to zapewne ptaki w podróży, i w podróży jednego towarzysza śmiercią ukarały. Musiał delikwent albo przewinąć, albo też polot ich wstrzymywać.

Przypominam sobie znaczny zbór bocianów w obwodzie Stryjskim w dniu 18 sierpnia 1868, trwał on dni trzy, zdawała się na nim panować zgoda i porozumienie; gdy zaś 19 jechałem na polowanie, spostrzegłem zabitego bociana na polu. Świeży to był trup, miał wiele pierza obskubanego i pomiętoszonego, cały był zwalany, lecz śladów ran znaleźć nie mogłem. W życiu mojem ornitologicznem i myśliwskim kilka-

naście zabitych, a niezastrzelonych bocianów znalazłem, niektóre po odbytym zgromadzeniu, inne bez wiadomości o témże, a zawsze w czasie odlotu tych ptaków. Również mam kilka wypadków zanotowanych, że się pojawił bocian tam, gdzie go nie bywało, najczęściej zmęczony, niezdolny do lotu, jak to mówią, mocno poturbowany, niemogący nawet przed zdążającym ku niemu człowiekiem uciekać. Są to ofiary surowości bocianów, lecących w pośpiechu, a niemogących na śmierć zabić delikwenta, więc go mocno poszturkają, czasem skrzydło złamią i zmuszą do opuszczenia podróującego stada. Te zdarzenia jasno dowodzą, że egzekucye odbywają się w powietrzu i na ziemi.

Lot bocianów jest szybki i zręczny, różni się od innych szcudlatych ptaków w powietrzu wyciągniętą szyją. W krążeniu lot jest kołysający, a tak lekki, że widać, iż kołowanie pod niebiosami to istotna igraszka dla nich. Gdy się poderwać chce bocian, musi kilka kroków przebiegnąć, podskoczyć z rozpostartymi skrzydłami i dopiero jest w stanie podnieść się. Zapadając, nie może na miejscu się utrzymać, i hamując pęd skrzydłami, biegnie chwilę i dopiero spocznie. Ćwiczą się w krążeniu jak drapieżne ptaki, unosząc się coraz wyżej. Między bocianami jest wielu profesorów, którzy towarzyszą młodszym w kołowaniu przodkują, górując nad nimi i przykładem do siebie namawiają.

Roku 1854 obserwowałem ciekawe powietrzne wyścigi bocianów z orłem białogonem czyli bielikiem (*aquila albicilla*) nad wieczorem w dniu 23 sierpnia. Stado liczne bocianów krążyło nad stawem, nad któ-

rym orzeł latał, szukając rybki na kolacyę. Bociany w ewolucyach spotkały się z orłem i tak się z tym ptakiem drapieżnym pomieszały, że ledwie dojrzeć można było niebezpiecznego rybołowa. Istne to było igrzysko, gdyż zgoda panowała zupełna, bociany w górnym locie orłowi dotrzymały; ptaki kołując, wzniosły się do tej wysokości, że je z oczu straciłem.

Pojęcie własności ma bocian i gdy ją broni, troi się jego siła i odwaga; często z walki o gniazdo przeciw licznym napastnikom wychodzi zwycięzko. Zdarza się, że samiec straciwszy samiczkę, w pierwszych chwilach sam gniazda używa. Parki inne szukające umieszczenia usiłują wyprzeć go z gniazda, ten zaś broni zacięcie w nadziei, że jeszcze towarzyszkę sobie wynajdzie, i doświadczenie uczy, że prawie zawsze utrzyma się przy własności lub też w walce zginie. Jak gdyby do wypełnienia mego listu ornitologicznego, tej wiosny przybyło zdarzenie, które opisać muszę.

Bocian samiec z awangardy przyleciał na gniazdo, używane przez długie lata, czekał dwa długie tygodnie na samiczkę i nie doczekał jej się, musiała zginąć lub też w podróży uwiedziona została przez młodego samca; sam siedział smutny dnie całe, wyczyścił gniazdo, krańce wyrestaurował, łoże było gotowe, lecz samiczki zbywało. W końcu kwietnia przylatuje parka bocianów, siada na tym samym budynku, krąży nad gniazdem, rekognoskuje położenie, zbliża się, mizdrzy do smutnego i groźnie stojącego wdowca, jak gdyby wyprosić chciała ustąpienie gniazda; mój bocian na to nie zważa, lecz nareszcie natarczywością wyzwany, staje odważnie

i po kilkodniowej tak nierównej walce odgania napastników, i znowu dumając, spędza smutnie dni swoje. Rozkochana parka poleciała do innych bocianów na skargę, jak się zdaje, tłómacząc pewnie, że wdowiec nie potrzebuje gniazda, a ona w ciężkiej potrzebie schronienia nie ma. Bocianów kilku przyleciało i na tamsamym budynku sejmikowało, nareszcie i z tymi konsyliarzami wszczęła się walka trwająca kilka godzin. Bocian wdowiec tak mężnie bronił swęj własności, że przy gnieździe mimo samotności utrzymał się. Zdawało się, że po tych dwóch znakomicie wywalczonych potyczkach już mój bocian spokojnie całe lato przeboleje nad utratą towarzyszki, lecz nie taki jeszcze los go czekał. Drugiego dnia przyleciało kilkanaście bocianów, zdaje się, że między niemi były i starsze, których słu chać trzeba było, gdy krążyło stadko nad gniazdem. Mój bocian rad nierad zerwał się i poleciał do nich, pokrażyli chwilę i polecili usiąść na bliskim polu. Tam trwała narada kilka godzin, poważna, spokojna, jak widać po wyroku wydanym; bo mój waleczny domator wrócił sam na gniazdo i już przez trzy dni spokojnie używał swego dziedzictwa. Kilka razy na dzień odlatywał, powracając zawsze przynosił kawałeczek materiału do powiększenia gniazda. Już widać po tym ptaku było, że się oswoił z samotnością i zadowolony był otrzymanem zwycięstwem. Rano pierwszych dni maja usłyszałem pierwsze radośne kłapanie mego wdowca. Wyszedłem i szczerze się ucieszyłem, widząc koło niego młodszą towarzyszkę. Jakież to były uciechy, jakie pieszczoty, a co kłapania hałaśnego! Koniec tego wszyst-

kiego, że po ośmiu dniach samiczka na czterech jajach siedziała, a pożycie małżeńskie tak się prozaicznie przedstawiało, że nic ciekawego odkryć nie mogłem.

Bociany, jak ludzie, mają swe zwyczaje, kaprysy, doświadczenie; jedni do drugich niezawsze podobni i pełno, jeżeli tak mogę powiedzieć, jest różnych charakterów; i tak np. jedne pozwalają sobie ruszać i przekładać jaja i pisklęta w gniazdzie, inne albo wyrzucają, albo też opuszczają gniazdo. U bocianów jak u drapieżnych ptaków zdarza się często, że rodzice dla braku pożywienia lub też z innych nam jeszcze nieznanych powodów, wyrzucają pisklę, które się na ziemi pod gniazdem zabije. Lecz temu się dziwić nie możemy i to okrucieństwo nie powinno wcale szkodzić reputacji bociana, kiedy widzimy dziś jeszcze podobne barbarzyńskie postępowanie, wynikłe z wyrachowanej potrzeby między ludźmi. W Nowej Holandyi rodzice nie mogąc wyżywić swoich rodzin, kamieniami rozgniatają swoje dzieci. W Chinach głębokich biedni ludzie poczytują sobie za obowiązek zabijać własne dzieci, gdy wielki niedostatek czują. Uważałem to wyrzucanie jaj u wielu gatunków i te same znane mi pary, jednego roku wyrzucały jajo lub pisklę, innych lat wychowały wszystkie.

W wyrzucaniu jaj i piskląt mieści się nieodgadniona dla mnie tajemnica. Dlaczego już jajo wyrzucają, to znowu pisklę, a niekiedy bocusia już pierzem okrytego? Pierwszy przypadek tłómaczę sobie usposobieniem samiczki, mającej w jajeczniku do zniesienia rżędem przygotowane jaja i te znieść musi, czy są zapłodzone czy nie. A zatém, gdy im przecucie lub

rozum wskazuje rok dla nich nieurodzaju czyli głodu, one naprzód to przewidując, pozbywają się dziecka na nędzę przeznaczonego. Drugi przypadek wyjaśnia potrzeba siedzenia na oznaczonej liczbie jaj dla samiczki, co i w innych gatunkach widzimy, że samiczka więcej znosi jaj, niż wysiedzieć może, i resztę zostawia w gnieździe. Również być może, iż zostawione lub wyrzuczone jaja bywają niezapłodzone. Ostatni przypadek jest dla mnie zagadką, gdyż ten bociek wyżywiony, stojący na gnieździe, wymagał już niemało ofiar, wysileni i trudów od rodziców, już był pociechą i jak rodzice zwykle mówią, resursą dla nich, a przecie go z domu rodzicielskiego wypędziły i na śmierć przeznaczyły. W mém badawczém życiu kilkanaście podobnych wypadków zanotowałem i nieraz bocianiątko przytuliłem i wychowałem; pamiętam jedną taką opuszczoną sierotę z mych studenckich czasów, wychowaną i przezimowaną, do ludzi przywiązaną, będącą częścią drobiu domowego i niemyślącą wcale o odlocie, inne zaś częstokroć w jesieni z innymi bocianami odleciały lub też znikły na wiosnę. Bywa to wyrok rodziców niedowołałny, można bowiem wsadzać ofiarę do gniazda, układać z rodzeństwem, pomięszając z drugimi pisklętami, one ją zawsze wyrzuca. Pamiętam w Olkuskiem za młodych lat, że kilkakrotnie wsadzałem na gniazdo bocianiątko, nie przypuszczając dzieciobójstwa, lecz przypisując nie szczęście przypadkowi, niezgrabności i nieostrożności młodych, tłumiących się i szturkających wzajemnie, wszakże ta pomoc ludzka okazała się zawsze bezużyteczną. O wkładaniu jaj można to samo powiedzieć.

Wynik tych moich doświadczeń każe mi wnioskować, że wyrzucony bocian musiał ciężko zawinić względem rodziców lub rodzeństwa i tak srogą karę poniósł. U innych gatunków ptaków widywałem nader często wypadnięte ptaki na ziemi, i jeżeli były nieuszkodzone, to je rodzice wykarmiali, nie mogąc zanieść do gniazda; egzekucyj podobnych jak u bocianów nie widziałem. Zdarza się, że słota i zimno zabije młodsze pisklęta, a starsze silniejsze przetrzymają biedę; wtedy rodzice sprawiają im ptasi pogrzeb i żywią pozostałe przy życiu. Przyczyny dzieciobójstwa na dorosłych odkryć nie zdołałem.

Surowość obyczajów u bocianów, zemsta i kara bywają straszliwe. Mój sąsiad spędził bocianicę, wyjął jajo, a na to miejsce położył jajo gęsie. Gąsię wykłuło się niemal wcześniej, niż bociany. Po kilku dniach, gdy samiec wrócił z żerowiska w południe, a spostrzegł podrzutka, pozabijał wszystkie pisklęta, zdziobał samice do tego stopnia, że dwa dni na gnieździe leżała i opuścił dom; pewnie samica zdechła, bo jój później nie było. Czy o tym bocianie nie można myśleć, że on posądziwszy o niewierność samiczkę, tak srogo postąpił z nią i z całą rodziną?

Dowody rozumu, czucia, wdzięczności i pamięci bocianów są rozliczne; gdybym je zechciał spisywać, cały tom mógłbym zapełnić.

Przypominam sobie z moich studenckich lat w Jasielskiem u méj babki cztery bociany, już nie wiem jakim sposobem z gniazda wyjęte, które we dworze wychowano; dwa z nich w jesieni odleciało, dwa zaś

pasibrzuchy pozostały. Na wiosnę parka tych wędrowców powróciła i w ogrodzie na drzewie gniazdo słała. Przez cztery lata przylatywały na wiosnę, odlatywały w jesieni; w ciągu zaś lata, jak drób dworski po ogrodzie, dziedzińcu, sadzie i kuchni zbierały pożywienie, a nawet od znajomych z ręki przyjmowały kawałki.

Jak bocian rozumnie rozpoznaje przychylnych sobie od wrogów, jak umie rozróżnić niebezpiecznych ludzi od innych, mimo że żadnej różnicy w ubiorze niema, pojąć prawie trudno. W krajach, gdzie bociany strzelają, jest on tak dziki jak żóraw. Opowiadali mi nieraz moi zagraniczni koledzy naukowci, którzy na karb nauki zabijają wszystko, co im się nawinie, i mimo równej nam sympatyi dla bocianów, zgładzają ich niemiłosiernie: że bociany tam przy gnieździe są tak ostrożni, iż trudno ich było podejść, a nawet bywały wypadki, że niektóre pary w nocy przy szeleście zbliżającego się człowieka opuszczały gniazdo. Odwagą w ataku nie odznaczają się, nawet przy wielkim apetycie targnąć się nie śmia na większe trochę żyjątko. W tych przypadkach tak są niezgrabnymi, tak śmieszni, że komedye odgrywają. Roku 1855 siedziałem na błoni przy praniu owiec i przypatrywałem się pół godziny bocianowi, który chciał uchwycić młode gąsienicę dla żarłocznych swych piskląt i przez dwie waleczne gęsi w szachu był trzymany. Bocian z rozpostartymi skrzydłami przyskakiwał co chwilę, trzepotał jak ptak drapieżny i nie mógł porwać ofiary; gęsi syczące dziobały go po nogach, straszyły jak mogły, bocian podskakiwał, niezwyčajny takich obrotów i kto wie, czyby

nie był nareszcie porwał, bo tak był rozogniony, jak nigdy go nie widziałem, lecz chcąc wynagrodzić waleczność tych gęsi, poszedłem i obroniłem gąsienicę.

Roku następnego jadąc konno, ścigałem okiem bociana, przemierzającego tym znanym poważnym krokiem obszerny łąk już dosyć wysokiego jęczmienia. Bawiło mnie patrzeć, jak w tym chodzie zrywał robaki ze wstążek zboża, lub podnosił ślimaki, jak łapał nieroztropnie od dziury oddaloną myszkę, jak podnosił glisty i żaby, bo bocian to jak żebrak lub kozak w kampanii, wszystko w torbę pakuje i dopiero napelnivszy wolę, udaje się na spoczynek. Wtém bocian stanął jak wryty, odskoczył jak oparzony, zabrał się i odleciał. Zdziwiony pojechałem w to miejsce i ruszyłem dużego zająca, śmiejąc się, że to tchórzliwe stworzenie mogło kogoś jeszcze nastraszyć. Wprawdzie tu i owdzie wrzuci bocian w swą torbę młodego zająca, kuropatkę lub przepiórkę, lecz to rzadkie zdarzenie, a porachowawszy nieskończoną ilość myszy, niedźwiadków, pędraków i grzegotających żab, można mu pozwolić na przysmaczek czasem kąsek zwierzyny.

Roku 1850 we wsi Piotrkowicach pod Proszowicami, bocian osłabiony i pewnie wątpiący o swęj silę do wytrzymania podróży dalekiej, a dosyć przemyślny, aby się usunąć przed strasznym sądem assenterunkowym swych niemiłosiernych kolegów, odłączył się od latającej rodziny i zajął ogród na mieszkanie. Z początku stronił od ludzi, później zaś pożywienie z rąk ogrodniczka brał i z torby podanej z żabami wybierał je jak koń fiakerski owies; uwagę tu zrobić muszę, że

to ptak z niepospolitym apetytem: razu jednego nara-
chowałem 36 żab, które połknął jedną po drugiej. Ku
jesieni zrejterował pod dach, a później sam drogę do
kuchni znalazł i całą zimę swobodnie między czeladzią
przebył. Wszyscy go lubili, wszyscy karmili; nawet
psy uważały bociana za dworskiego, a on wywdzięcza-
jąc się, kłapał dzióbem. Tak minęła nasza smutna
i długa zima. Przy pierwszej woni wiosennej bocian
opuścił kuchnię i znowu się przeniósł na letnie mie-
szkanie, jak my wszyscy myśleli, do ogrodu. Lecz ina-
czej się stało. Bocian wyszedłszy, był bardzo niespo-
kojny, próbował skrzydeł, klekotał dzióbem, patrząc
w obłoki i podlatywał; później dopiero przekonaliśmy
się, że to były oznaki tęsknoty, gdy pod firmamentem
bociany ciągnęły, a nasze ludzkie oko dostrzedz ich nie
mogło; nareszcie podleciał, wzbił się wysoko, pokrzyżył,
wrócił jak na pożegnanie na zieleńający trawnik przed
domem, silnie zakłapał dzióbem, podniósł się i znikł;
zdaje się więc, że znalazł towarzyszkę, która mu prze-
baczyła zimówłę w kuchni, a wychodząc z zasady, że
nie pióro oznacza bociana, pokochała go mimo okop-
ciałego i zbrudzonego pierza. Ostatnich dni sierpnia
w czasie ciągu przyleciał sam, z ludźmi był tak oswo-
jony, jak gdyby ani na chwilę zimowego stanowiska nie
był opuszczał. Bawił dni kilka i wszyscy myśleli, że zle-
ciał na zimę. Lecz mój bocian dzień cały chodził i pa-
trzył w górę; niejedno stado towarzyszy przeleciało
nad nim, on się zabierał do lotu, a na ziemi zostawał;
nareszcie dnia jednego nad wieczorem gromada liczna
krążyła nad wsią, bocian podleciał, dogonił i powę-

drował. Może w tej gromadzie była samiczka i dorosłe
pisklęta, nie można było odmówić! Ja posądzałem boćka,
że w tych dniach wielką walkę stoczył z sobą, bo to
miłe ciepło kuchni, ta żywność tak regularnie dostar-
czana, ludzie wszyscy dobrego i spokojnego usposobie-
nia, jedném słowem przezimowanie bez trudów i nie-
bezpieczeństw, a z drugiej strony daleka podróż, prze-
bywanie morza, a ten sąd straszny — to więc musiało
kusić mądrego ptaka. Lecz poleciał, bo prawa są kaj-
danami pożytecznemi, niełatwemi do zdjęcia, a ich
wykonawcą jest to, co nazywamy instynktem. W marcu
roku przyszłego, gdy nasza kalendarzowa wiosna tak
każdemu dokucza, prawdziwa radość była we dworze,
gdy ujrzano znajomego bociana. Pięknie i elegancko
wypierzony, biały jak śnieg, a greczny i łaskawy,
każdego poznawał, każdemu zaklekotał dzióbem i jak
pan domu kroczy ku kuchni i tam przed ogniem na
ulubioném swém miejscu obraca się jak pieczeń na
rożnie, susząc przeziębnięte członki, trzepocze skrzy-
dłami, gdy wołają *bociuś*, wdzięczny, że o nim nie
zapomniano; bawił do pierwszych ciepłych dni i po-
leciał — poleciał i już nie wrócił. Biedny boćku! ty
może zginąłeś! może ci towarzyszka wrócić już nie po-
zwoliła, a my ciebie tak podziwiali, tak my pragnęli
jeszcze cię widzieć, ty mądry i wdzięczny ptaku!

Jak bociany w ogólności umieją oceniać postępo-
wanie tych, u których się gnieźdzą, przytoczę tu z roz-
licznych moich notatek o życiu moralném bociana dwa
zdarzenia.

W Krakowskim, na starym zamku, gnieździła się przez długie lata para bocianów. Roku 1845, gdy naprawiano budynek, popsuto gniazdo niepotrzebnie; bociany się odstraszyły i odleciały, a mimo że dziedzic kazał napowrót gniazdo włożyć, mimo że co wiosnę przylatywała parka na gniazdo, nie chciała się gnieździć przez cztery lata; dopiero w roku 1849 przebaczyły moje bociany wyrządzoną krzywdę i znowu opanowały gniazdo. Łatwe one były od innych do rozpoznania, bo tak łaskawe, że w ogrodzie i na dziedzińcu żerowały i najzabawniejsze figle z żabami na sadzawce wyprawiały.

Drugi przypadek jeszcze ciekawszy, bo cechuje rozum bociana i naszego szlachcica. W roku 1836 pewien szlachcic, którego tu nazwać nie chcę, nibyto zawołany gospodarz, bo co tylko przeczytał lub usłyszał, że w postępowej Europie robią, on zaraz naśladował, bąki strzelał, pieniądze tracił, młodzież swym przykładem bałamucił i w pole wyprowadzał, cytując ciągle autorów słynnych lub miejsca gospodarstw za przykład służących... ale pocóż tu niedowarzonych postępowych gospodarzy opisywać, przecież ich mamy dosyć, i kto chce, może żywe portrety codzien zobaczyć. Wolę więc o moim bocianie pisać, który nie naśladuje zagranicy, bo ma wielki rozum; nie naśladuje, bo ostrożny, a my ostrożności nie znamy! Mój szlachcic usłyszawszy, że zabijają szkodliwe bociany w Niemczech, nie mając *Büchsenspannerów* do niszczenia tych pożytecznych ptaków, posłać chciał parobków, aby zrzucili gniazdo z młodem w czerwcu. Stary gumienny całuje kolana, połowy,

który jeszcze dziada pamięta i polskie czasy, błaga pana, mówiąc: »że tu się zawsze wiodło, bo też zawsze bocianie gniazdo było na gumnie;« postępowy szlachcic ubolewa nad ślepotą tego ludu, woła lokaja i furmana i dalej na wyprawę. Zrzucili gniazdo, zrzucili i młode, które się pozabijały; dworscy sukmanowi zapłakali. Stare bociany siedziały na dachu dzień cały jeden przy drugim, tuląc się w smutku; drugi dzień minął bez pociechy, bez żerowania, nareszcie odleciały i do 1849 r., w którym tę okolicę opuściłem, żadna parka już do tego dworu nie zawitała. Mój postępowy zagraniczny obywatel może i nie przez bociany, tylko innowacyami, które tak trudno na naszej ziemi się przyjmują, wpadł w ręce żydowskie i źle mu się powiodło.

Roku 1848 o milę od Krakowa w Karniowicach, gdzie od lat wielu na budynku gospodarskim para bocianów się gnieździła, wysiedziła szczęśliwie pisklęta; w czerwcu pęknięcie chmury i trąba powietrzna zrzuciła gniazdo i pozabijała pisklęta. Rodzice wróciwszy, zastali nieszczęście; lecz w swym rozumie uznali, że to nie z winy człowieka powstało, więc spokojnie pozostali do sierpnia w pożyciu małżeńskim, noc przepędzając na gnieździe razem bez znoszenia jaj; samica siedząc na gnieździe, naprawiała go, a samiec skrzętnie donosił materyały, w myśli, że to będzie gotowem na przyszły rok. I tak się stało. Na wiosnę r. 1849 tak ciężko nawiedzeni rodzice powrócili na tosamo gniazdo, wporządzili nanowo, siedzieli razem czule, pieścili się, lecz jaj nie znieśli, jak gdyby niepowetowanej straty zapomnieć nie mogli; ona siedziała nibyto na jajach, on

jój donosił pożywienia, lecz na ten rok było to bezdzietne małżeństwo.

Na mojej stodole rześisty deszcz z gradem zalał gniazdo i pisklęta ledwie co wyklute utopił, bociany po powrocie z żerowiska smuciły się mocno; tego samego dnia powyrzucały dzieci zabite jedno po drugim, wyrestaurowały gniazdo, zostały na niém w czułej zgodzie, lecz się już tego roku nie niosły. Następnej wiosny wywiody pisklęta. Wiedzą to ptaki dobrze, z ką� nieszczęście przychodzi; wiedzą, kiedy trzeba przed ludźmi uciekać.

Bociana pożywienie stanowią głównie żaby (*Rana esculenta et rana temporaria*); nieskończoną liczbę ropuch (*bufo* np. *variabilis et portentosa*) zabija, przebijając z góry lub przewracając ją brzuchem do góry, rozpruwa tenże dzióbem; żadnej na jego drodze znajdującej się nie przebaczy, lecz rzadko je zjada, jest to wrodzona antypatya; dalej glisty, które rankami na rosie zbiera; wszelkie gatunki żuków i chrabąszczy (*Scarabaeus, Carabus Melolontha et Hydrophylus*); drobne karasie, liny, kiełbiki, a przedewszystkiém piskorze uważa za przysmaczek; przy okazji pożera i pijawki z obydwóch gatunków; nieszkodliwe węże zręcznie zabija, podkradając się cicho, dzióbem w głowę uderza, cios powtarza drugi, i albo całego połknie, albo też pokawałkuje; szczególnieć poluje na padalce (*Anguis fragilis*); ptaszki, pisklęta, zajączki, gdy je zjada, to przypadkiem i przez eksces; zato pędraki, myszy i niedźwiadki gnębi niepospolicie. Wziąwszy porównanie tego pożywienia, każdy przyznać musi, że bocian jest

nam pożytecznym ptakiem. Bocian nie zbiera pożywienia, jak inne ptaki, po ziemi, lecz łapie końcem dzioba i jednym rzutem wrzuca do gardła; większe żyjątko lub takie, co są niebezpieczne, zabija pierwój, inne ten żarłok żywe połyka, tak, że przez parę minut można widzieć, jak się w gardle żaby ruszają.

Bociany w niektórych lekkich zimach w Hiszpanii zimują; miasto Sewilla naprzykład ma niemal corocznie kilkadziesiąt bocianów w zimie. Również zimują w Sycylii i Krymie. Większa część ciągnie do Egiptu; później jeszcze więć w głąb południowej Azji i Afryki. Dwa nam znane wypadki, służące za dowód celu ich wędrówek, są następujące: Za czasów Jezuita Rzączyńskiego, zrobiono bocianowi obróż z blachy, na której wyrzył ów znakomity mąż: *Haec ciconia ex Polonia*. Wrócił na komin bocian ubrany w obrozę złotą z napisem: *India cum donis remittit ciconiam Poloniae*. W XVIII wieku, z pod Sztutgardu odleciał bocian z pierścieniem u nogi, na którym było zapytanie, gdzie leci; powrócił z napisem: *in Sicilia*. Te próby i dowody są nader trudne do wykonania, z przyczyny, że ptaki nic na sobie obcego znieść nie chcą, i póty majstrują, dopóki nie oderwą, a często inne ptaki przy tém im pomagają; dalej, że ptak *jest źle widziany* z jakimkolwiek ubraniem, nawet bywa prześladowanym, a może u bocianów egzekwowanym.

Od roku 1848 do 1851 bawili niektórzy członkowie naszego towarzystwa ornitologicznego w Azji, i przez porównanie notatek doszliśmy szybkości lotu bocianów na téj dalekiej podróży. I tak, bociany były

w Egipcie r. 1848 w połowie marca, w Nubii 1850 r., w Kordofanie 1851 r., nad Niebieską rzeką w r. 1852, w téjsaméj epoce; zaś u nas w Galicyi w pierwszych dniach kwietnia, do 10 kwietnia bociany już były na gniazdach z samiczkami. Różnica ledwie kilka dni tak w Azyi jak u nas.

IV.

Moje boćki, już trzeci miesiąc mija, a ja jeszcze waszój historyi nie dokończyłem — wy mi tego za złe wziąć nie możecie, bo mnie codzién przy snopie i plugu widzieliście, nie okazywaliście trwogi; gdy na bagnach strzelałem, z zaufaniem opartém na waszym sympatycznym instynkcie, usuwaliście się przyspieszonym krokiem z rozpostartemi skrzydłami, gdy was spotykałem na łąkach i łąkach szukających żeru; nawet przed mym koniem żaden z was nie podleciał, wiedzieliście, kto jedzie; mimo więc ostrożności, która wasz ród cechuje, wy się nie boicie waszego historyografa, więc mi za złe nie weźmiecie to spóźnienie, a może za tym przykładem i czytelnicy więcej surowości nie pokażą, a w długich zimowych wieczorach przejrzą te stronicie i nie odepchną dalszych odkryć z tajemnic przyrody.

Pisać o was boćki rzeczywiście nie mógłłem, bo wy wiecie, co to za praca w lecie i jesieni w tym tu kraiku, bogato od Stwórcy uposażonym, a ciężko od ludzi nawiedzonym; kto tu z matki ziemi chce wydo-

być pożywienie i dopełnić swych zobowiązań i powinności, ten w pocie czoła, siedząc kamieniem, pracować musi. Wam to łatwiej żyć, lotni gospodarze; gdy wam tu źle, rozpuścicie skrzydła, nogi waszym sterem, i szybkością strzały lecąc, szukacie krain, które Bóg obficie obdarzył. My zaś przykuci, z miejsca ruszyć się nie możemy; im nam gorzej, tym więcej tulimy się do naszej ziemi, bo łzami zroszona ziemia z miłosierdzia Bożego plon daje; w tej naszej ziemi widzimy pamiątkę przeszłości, w tej ziemi gromadzimy nasze obowiązki, i tam nadzieja przyszłości! Niejeden z naszych jął się was naśladować, i li w duszy mając miszerne skrzydła, ruszył ze wschodu na zachód, z północy na południe, i daleko od swego gniazda spostrzegł się zadziwiony, że my z pod ciężarów usunąć się nie możemy, i jak zbrodniarze, co na galerach ciężar kuli całe życie ciągnąć muszą, tak i my naszej biedy pozbyć się nie możemy; spostrzegł się, że my bezkarnie z miejsca na miejsce przenieść siebie i nasze mienie nie potrafimy; spostrzegł się, że u nas każdy ruch nierozważny, każda zmiana kosztu i straty przynosi, wtrącając nas jeszcze głębiej w otchłań biedy!

Odlecieliście, dotrzymując sumiennie terminu waszego odlotu. Pozdrowiałem was serdecznie, ściagałem was wzrokiem długo, dziwiłem się, dlaczego wasza aryergarda tak spóźniła wędrówkę tej jesieni? Czy trzeba było waszych gniazd dłużej pilnować, lub dokładniej restaurować? Czy ten korpus miał tego roku inną drogę wyznaczoną dla wielkiej posuchy? Wy przezorni, wy posiadacie rozum połączony z instynktem, a to daje

nieomylnie przeczucie. Ileż ja godzin nad wami dumałem, dlaczego inaczej tej jesieni, jak było innych lat; dlaczego tak skrzętnie urządzone pozostawialiście gniazda przed ośmiomiesięczną podróżą? Czy znowu przeczuwacie *zielono-białą wiosnę*, z temi wichrami, co krew ścinają a sinieją ludzi, z tym śniegiem, krupkami i lodowatym deszczem, z tym słońcem, co kiedy niekiedy wyrzy z za chmurki ukradkiem, jak gdyby tylko zobaczyć chciało, czy jeszcze warto temu finansowo-materyalnemu światu przyświecać, czy warto jeszcze ogrzewać te głazy zimne na europejskiej przestrzeni? Czy to znowu ma być ta galicyjska wiosna, przegrodzona zimą; niszcząca kwiaty, krzewy, owoce i zboża, a gnębiąca me ulubione ptaszęta.

Tyle tajemnic już mi odkryliście, tak głęboko daliście mi wejrzeć pod zasłonę organizmu waszego społeczeństwa, dlaczego tu niedozwolicie robić odkryć dla pożytku mych rodaków, jak ja gospodarzy? I ja tak po waszym odlocie trapić się będę tą długą, grudową, mroźną i białą zimą, zanim mnie ocuci powitanie wiosny przez wasze kłapanie, zanim usłyszę te harmonijne nuty, w gęstwinach tajemnic nucone, wzruszające wszystkie struny méj duszy! O, jakże daleko jeszcze te wieczory z wonią w powietrzu, w których słuchać będę tych cichych akordów powtarzanych w powietrzu przez powracające ptaki, bo to mi wszystkie znane głosy lotnych przewodników, podających sobie znaki, jak robią czaty wojenne; a nareszcie tych pierwszych barwistych kwiateczków, co z pomiędzy bryłek pozostałego śniegu skromnie, a tak nieśmiało główki wychylają. Ja je tak lu-

bię, bo one równie ze mną już się niecierpliwia, że wiosny cieplej doczekać się nie mogą; one są tak miłe oku, bo to próbki nam dane od Stwórcy, abyśmy się nadzieją cieszyli, jaka piękna będzie przyroda! Bóg postępu niezna; postęp to wymysł człowieka. Często się cofa, a myśli biedak, że postępuje. Bóg raz świat obdarzył, i od kilku tysięcy lat co roku nam to samo pokazuje; a my co roku czujemy to samo wzruszenie, co roku podziwiamy całą duszą skarby przyrody; bo to nieskończona dokładność w najdrobniejszym robaczkę lub listku na drzewie! Przyroda równie postępu nie zna, bo ona jest dla nas doskonałością. Ach! żeby to już chciała nadejść ta chwila wdzięcznej czci i podziwienia; lecz tu przed nami sroga i długa zima, bez śpiewu, bez woni, zimna jak grobowe kamienie! Może wiosnę w swém miłosierdziu Bóg przyspieszy; On wszystko może, lecz odlatujące bociany szepnęły mi, że tu znowu w kwietniu biedować wypadnie!

O was boćki moje jestem niespokojny; wy poleciliście nad Ganges, wy wiedzieć nie mogliście, co w Indyach zaszło, a tam dwa dzikie narody (dzikie bo okrutne i bez miłosierdzia) pozerają się wzajemnie jak hyeny lub pantery, szarpią się pazurami jak dzikie zwierzęta, niemal krew pognębionych piją jak wampiry. Cóż wy tam robić będziecie, poważne, cnotliwe, rozumne i nikomu nieszkodzące boćki? Oni tam głód cierpią, oni was strzelać i pożywać będą, bo ten zdobywca, a okrutny naród o tyle zna ludzkość i miłosierdzie, o ile do jego celów to posłużyć może; personifikacja chciwości i roślin pasożytnych, co ze szkodą drugich swe ży-

cie utrzymują. Strońcie przed wojskiem i błyszczącą stalą, bo ono rzadko spokój utrzymuje, a często niebezpieczeństwo wzmagą; odlatujcie przed grzmiotem broni, bo tam dla was niema współczucia, niema zamiłowania przyrody. Człowiek postępu chce z przyrody zrobić swego służalca; lecz ta cudna córka Stwórcy rozda je już szczerodro swe bogactwa, lecz się w karby ująć nie da i broni się straszliwie; strońcie boćki od indyjskich, dawniej cichych brzegów rzek, bo tam dymiące statki pożogę miotają; już tam dla was niema bezpieczeństwa! Schrońcie się w pustynię, przecierpcie tę długą zimę, a doczekacie się, czy cywilizowana dzikość, czyli też stan natury zwycięży, a pewnie będzie później spokój, bo każdy ogień nareszcie wypalić się musi. A gdyby tam z wiosną nieprzeszły grzmieć działa, wróćcie do nas czekających, a smutnych, stęsknionych, znękanych, lecz spokojnych! Biedne boćki, jak was niebezpieczeństwo w dwóch światach prześladowa, czy wy nam licznie z tej wędrówki wróćcie, czy wy nas znowu z kwietniem pocieszycie i rozweselicie, a zabezpieczycie nasze siedliska? My wam zachowamy sumiennie wasze gniazda, ulubione stare drzewa, a wy tymczasem strońcie od ludzi w ogólności, bo nie wiele ich dobrych, a w szczególności od tych ludów, co powstrzymać nie mogą rozhukanych namiętności, które ich do zwierzęcości prowadzą!

Nie mam dziś zasługi o was pisać, bo nasz cały widnokrąg w bieli, cichość w całej przyrodzie. Już ostatni listek żółty zleciał z drzewa; nawet trzpiot wróbel przestał świergotać i nie troszczy się o samiczkę.

bo mu za zimno; wszystkie żyjątka szukają łoża i schronienia zimowego, jest więc czas myśleć, pora na wsi nieczynności i wypoczynku, ale mnie coś w sumieniu niepokoi, w tém sumieniu zamilowanego ornitologa, któryby w takim świetle swe ptaszęta przedstawić chciał, aby każdy je miłował i każdy je szanował, a ja tu o żonach moich boćków źle mówić będę, nie jedną niewierność i lekkomyślność odkryć muszę. Przecie to żony do historii należą, i bez nich, niestety, obejść się nie można. Kobieta w ludzkości to to samo, co woniący kwiatek w przyrodzie. Przykro mi rzucać cień i skazy na ród bociani, pełen tyłu doskonałości, lecz myślę, że się prędko uwinę; do wiosny o tém zapomną, a nie wystawiam się na niebezpieczeństwo, aby moja satyra bocianek pod Delhi zaszła, więc się biorę do ich portretu.

Bociek krwistego temperamentu i żywego, gorący a pełen namiętności, chociaż to wszystko zakrywa posępną i spokojną powierzchownością, mściwy, nawet okrutny w swój sprawiedliwej zemście, kocha całym swém jestestwem, wierny do zgonu swego, lecz biada temu domowemu przyjacielowi, co mu zajdzie drogę i bruździ w pożyciu małżeńskim. — Boćkowa limfacyjnej natury, wierna o ile bociek pilnuje i dogadza, z mężem lubi swe łoża dzielić, lecz zimna i bez temperamentu, — miewa co rok dzieci, lecz rozkoszy na nią nigdy nieznac; wypełnia obowiązki matki surowo i obojętnie w czasie lęgu, podróżuje bo musi, płodzi, bo prawidła natury tak każą, żyje długo, zachowuje kształty i świeżość do śmierci, bo silnych wzruszeń nie

zna, cnotliwa o ile pokusa daleko, często niewierna, a nawet w romansie zimna; smętnego wejrzenia, jak gdyby z siebie nie była zadowolona; złapana na gorącym uczynku niewierności, obojętna; naprowadzona surowością męża na drogę powinności, znowu zimna i flegmatyczna; lato spędza na układaniu gniazda; zawsze coś w umebłowaniu zmienia, istny dowód nudów; nie zawsze schludna i w porze lęgu często się zaniedbuje, nie czesząc dzióbem i nie czyszcząc pierza; a mimo tych wad i niedbałości, bociek wierny kocha i dogadza. — *O mój bociu możesz zaiste służyć za przykład w małżeństwie, a ileż ona przypomina boćkowych w spodnicach!*

Ja muszę prawdę mówić, więc ją nagą tu wyłożę i powiem wszystko złe, co o samiczkach wiem; lecz i o dobrém nie zamilczę, a że może oczęta jakiej kobiecinki zabłąkają się do tych ramotek ornitologicznych, więc zacznę od historii zacnej i nieporównanej boćkowej, w swym żalu i w swój wierności po utracie małżonka. Rzadkie to zaiste zdarzenie, lecz li w tym rodzie!

Roku 1852, w Bocheńskim, przyleciała na wiosnę w kwietniu samiczka sama i opanowała swe gniazdo na starém drzewie nad Wisłą. Zmęczona podróżą, nie bardzo bolała nad swą samotnością; trzeba było zasilić wygłodniały żołądek, urządzić i poprawić gniazdo, więc te pierwsze dni w zatrudnieniu schodziły, lecz pana gniazda jak nie było, tak nie było. Latała na żer, schodziła się z rodakami na łąkach, wspólnie z nimi zerowała, lecz zawsze sama na gniazdo wracała. Trwało to dni czternaście i jak się zdaje, każdy bocian szano-

wał jój smutne położenie i stronił od niej nienaprzykrzając się. Lecz na świecie zawsze tak było i pewnie zawsze nadal pozostanie, że gdzie młoda wdówka, tam djabeł nadskakuje i jak gmin dobrze mówi, chętnieby w piecu zapalił. Więc się pomału zjawiali konkurenci, kłapali do taktu, toczyli nad jój gniazdem większe i mniejsze koła, spuszczali się szybkością błyskawicy nad nią, znowu lotem pełnym gracji pod obłoki bujali, niejeden z nieśmiałością siadywał na sąsiednie gałęzie, przybliżał się do gniazda, lecz to wszystko rozbić się musiało o zimną obojętność wdówki niepokieszonej. Wyrestaurowała sobie gniazdo, ubrała krańce świeżemi gałązkami, zносиła czasem jajo, siedziała na nim dwa dni, a potem dzióbem wyrzucała, a ja je zbierałem, bo się na murawie i mchu nie tłukły; i znowu zносиła, tak, że pięć zniosła, a na ostatniem siedziała dłużej, lecz tak samo wyrzuciła jak inne. To trwało do 20 maja, (czas, w którym samice siedzieć muszą); poczem wylatywała za żerem, lecz do czasu zgromadzenia jesienno-bocianów pozostała w samotności i żadnego towarzystwa nie przypuściła. Na rok przyszły powróciła z mężem; lecz czy to był nowy związek, czy odszukała nieodżałowanego, tego powiedzieć nie mogę. Ktoby jak ja, miał był sposobność obserwowania tego bociana, byłby pewnie zastosował to zdarzenie do wielu wspomnień swego życia w towarzystwie.

Od lat wielu uważałem parkę bocianów w moim sąsiedztwie, gdy w Brzeżańskim mieszkałem; zajmowała mnie więcej niżli inne, gdyż najczęściej nie zbierała nic innego, jak myszy i żaby, świerszcze i żuki,

żyjąc w zgodzie i wzajemnem przywiązaniu. Stare to były i przezorne bociany; niejednego roku wyrzucały z własnego popędu jajo lub pisklę, aby łatwiej resztę dzieci wychować; odgrywały mi niejeden zajmujący dramat na wiosnę, gdy obce bociany samiczkę, lub gniazdo zdobyć chcieli. Boćkowa nie miała wielkiego przywiązania, ani też była bardzo pewna swój wierności i cnót, widziałem to po lekkomyślném zachowaniu się z obcemi bocianami; lecz on był niepospolitym egzemplarzem męża: przezorny i doświadczony, pilnował ustawicznie, rzadko kiedy odlatywał na długo i to dalszych wycieczek nie robił; przytém czuły i kochający, dogadzający ustawicznie samiczce znoszonemi przysmaczkami, pieścił czule, a jak potrzeba było, to karał surowo. Roku 1854 samiczka pierwsza nadleciała, bociek zaś musiał się w podróży zatrzymać; i jak to już są te bocianice, po kilku dniach przepędzonych na urządzeniach domowych, dalejże w sąsiedztwa i niebawem z młodym, obcym bocianem powraca (o zgrozo!) na noc do domu na strzechę. Po kilku dniach pożycia tak małżeńskiego, że każdy obcy byłby powiedział, że to dawna nam znana parka — lecz my zaraz poznaliśmy, iż sprowadzony bociek był przeszłorocznym ptakiem, nieobeznanym z tém gniazdem, a potem mniejszy i bielszy — zносиła jedno po drugim jajo i zabrała się do wysiadywania.

Pewnego poranka, siedzi na strzesze stodoły nasz stary bocian ze zmierzwioném, brudnym i stieraném pierzem, zmęczony ciężką podróżą, znekany wypadkami, które go wstrzymały w towarzyszeniu samiczce; siedział stary z najeżoném pierzem, głowa z karkiem ku

rywalowi nachylona, oczy iskrzące. Była godzina dziesiąta zrana, gdy właściciel niezważając na samiczkę, natarł na zwodziciela i wyzwiał go do walki pod chmury. Wzniesli się oba, rozjątrzeni i chciwi zwycięstwa; jeden chciał odzyskać swoją własność, drugi bronić nabytą samiczkę i gniazdo; krążyli długo, starając się górować, aby na nieprzyjaciela uderzyć, wybili się pod obłoki, górny nacierając na dolnego, którego widzieliśmy, jak gdyby czapla przed sokołem przewracającego się na wznak w powietrzu i nadstawiającego ostry dziób. Po dwóch godzinach tej walki, wrócili na dach, siedzieli zmęczeni opodal siebie, zakłapali głośno; wtedy obojętna boćkowa wstała na gnieździe, odpowiedziała krótkim kłapaniem, popatrzała chwilę na rywalów obojętnie i spokojnie usiadła w gnieździe. Napastnik już nieśmiało do gniazda przystąpił; gdyż napierzony mąż posuwał się za każdym jego ruchem, z roztworzonym dzióbem i pokoju mu nie dawał. Po południu walka była druga krótka; skończyła się pojedynkiem na dachu, skąd młody bocian zrzucony został razy kilka; już spuścił z tonu, siadł sobie na samym końcu i tak noc przepędzili, a prawy mąż stronił od niewiernej i ani na stopę nie przybliżył się do niej. Rano ledwie słońce zeszło, wpadł chłopczyk i obudził mnie wołając: bociany się biją; naturalnie wybiegłem i już byłem przytomnym ostatniemu aktowi tego zajmującego dramatu. Spostrzegłem w powietrzu moje bociany w różnych ewolucjach, lecz nie tak wysoko. Po chwili młody bocian z opuszczonymi skrzydłami leciał ku ziemi, nad nim zwycięzca; gdy pierwszy siadł na ziemi, potoczył

się kroków kilka i z lewych barków krew zafarbowała białe pierze; stary siadł koło niego, spojrzął z politowaniem i wspaniałomyślny (kto wie, czy to nie był jego własny syn?), bo mógł bezbronno go dobić, odleciał na to samo miejsce, co zajmował przez dwa dni. Zwodziciel ukarany chodził godzin kilka i ponad ziemią chyłkiem odleciał.

W czasie tej krwawej walki zimna i limfatyczna samica, siedziała obojętnie na jajach i dopiero, gdy mąż głośnym kłapaniem ogłaszał swe zwycięstwo, ona się podniosła i odpowiedziała. Siedział długo zmęczony mój sędziwy bociek, jak gdyby dumał nad tem, jak skarać niewierną, jak ją poprawić, a żony nie wypędzić. Ku wieczorowi posunął się na gniazdo, strącił samiczkę i opanował łożo małżeńskie. Zawstydzona boćkowa odleciała na godzinę, a wróciwszy siadła na tém miejscu, gdzie samiec pierwój przesiadywał. Słońce zaszło, nie mogłem go zatrzymać jak Jozue, miałem w gniazdo wlepione oczy; noc zaszła, trzeba było obserwatorium opuścić i przykro mi wyznać, że nie wiem, co w tym mocno popsutym stosunku małżeńskim w czasie nocy zaszło. Drugiego dnia obudziło mnie kłapanie, i gdy na ganek wyszedłem, zobaczyłem pod stodołą cztery rozbite jaja, w których już były zarodki, a bocianów para siedziała obok siebie na gnieździe; ona z wyniosłą szyją, wysoko na nogach stojąc, ona na samym brzegu, skulona i z spuszczoną głową. Musiałem to pojednanie opuścić, a gdy po kilku dniach, jeżeli się nie myślę siedmiu, powróciłem, zastałem ją siedzącą, a jego donoszącego materyały do poprawy gniazda.

Wysłałem chłopca zobaczyć, który mi powiedział, że cztery jaja tam leżą. Zdaje się, że boćkowa nie mało miała powabu, a on pocziwy i od tylu lat do niej przyzwyczajony, przebaczył, a resztę dokonała słabość boćkowa.

Wszystkim niemieckim ornitologom następujący wypadek jest znany i każdy z nas o tej parze ciekawiej wiedział: Niedaleko Erfurtu, na zamku Gebesee, od lat dwudziestu para bocianów na wieży się gnieździła; co roku o to, jak się zdaje nader wygodne gniazdo, krwawe walki toczyły obce bociany, a przecie właściciele dawni w posiadaniu się utrzymali; tak te bociany mieszkańców zajęły, że w niektórych wioskach strzelano do napastników, aby ich odstraszyć *). Roku 1838 obcy samiec konkurował przez dwa tygodnie, niezważając że samiec w domu, a co więcej w zgodzie z samiczką; obcy tysiączne usługi oddawał, chętnie szturchnięcie od męża wytrzymał, i obrał sobie siedzibę na drugiej wieżyczce; męża gonił i harcował, a gdy ten na żerowisko poleciał, on do samiczki w konkury lub za nim na pole i tam go prześladował. Sprzykrzyło się to staremu: wyzwał boćka birbanta, natarł na niego, pogromił, a wróciwszy do samiczki, zakłapał na znak zwycięstwa; poczem napuszył pierze, schował dziób pod skrzydła i na wypoczynek podrzęmał sobie spokojnie. Prawda, że takie postępowanie żadną samiczkę zadowolnić nie może, dalej, że nic więcej boćkowej

*) O tej parze bocianów, co roku obszerne raporta są drukowane.

tak nie drażni, jak zmęczenie męża; ale cóż się stało? Tu zaiste tyloletni związek wobec całego Erfurtu, tyloletnie przyzwyczajenie, zresztą wierność, ta wrodzona cnota ptasiemu rodowi: to wszystko powinno było wywołać inne postępowanie boćkowej!... Gdy tak na jednej nodze z głową schowaną bocian sobie na gnieździe drzemał, przyleciał zalotnik, pokrażył nad nim chwilkę, nareszcie pędem strzały spuścił się na niego i utopił dziób cały w jego ciele. Nieszczęśliwy małżonek spadł z wieży bez znaku życia; zaniecono go do zamku, lecz nie było ratunku, więc go wypchano i stoi na szafie z kartką, na której opis tej krwawej sceny, dzień i rok tego ciekawego zdarzenia, na dowód, do jakiego stopnia namiętności w ptakach wyrodzić się mogą. Lecz cóż się z samiczką zrobiło? każdy chciwie pyta: pogardy godna boćkowa, tego samego dnia przyjęła do gniazda mordercę i widziano pieszczącą go, oczywiście była z nim w porozumieniu, bo jej się stary drzemiący sprzykrzył. Tak to odwaga zawsze, a lekomyślność często samiczki zdobywa. I dalsza historia tego romansu niemniej ciekawa. Zdobywca nie wyrzucił jaj już zapłodzonych, pałał miłością platoniczną lato całe, pomagał sumiennie do wychowania piskląt swój ukochanój, z niemi poszedł na wędrownkę, i zdaje się, że dopiero roku drugiego wynagrodzonym został.

Dużo mam bardzo zapisanych i zebranych zdarzeń podobnych tym, co wyżej opisałem, wszystkie przedstawiają w podobnym świetle boćkowe; a że już niejedną burę wytrzymałem *za te rażące szkice*, (bo uderz w stół, a nożyce się odezwą), więc już nie mam śmia-

łości dalszych faktów opisywać i z innéj beczki utoczę trochę płynu ornitologicznego. Zresztą jest jeszcze wiele ciekawych stron pożycia małżeńskiego, rzeczywiście zajmujących, bo niemal w każdej parze coś innego, a zawsze uwagi godnego, lecz choć to się codzień odbywa, ja wolę ciemność nocy na to rzucić i pokryć milczeniem, bo to *scripta manent*, i drukowana myśl zawsze więcej razi, jak szepnięta do ucha z tym uśmiechem, co przebaczenie wywołuje; zatem nie powiem, a czuję że ciekawość wzbudziłem, bo ja sam oczu oderwać nie mogłem. U jednych zadowolenie rozkoszne, u drugich zmęczenie i smutek, u innych swawola radosna, tu żądanie despotyczne, gdyby sułtana w haremie, tam czuła nieśmiałość. No, no, już dosyć o tém, jeszcze się kto domyśli i ja się wstydzic będę musiał, bo to nie każdy z czytelników ze stanowiska naturalisty na podobne zdarzenia się zapatruje.

Na wiosnę roku 1848 przyleciała do mnie znana mi od wielu lat parka bocianów i opanowała swe gniazdo, ta sama, której roku przeszłego burza zrzuciła część gniazda, roztlukła dwa jaja zasiedziane i zabiła dwoje piskląt. Smutne były ptaki i w melancholii pogrążone, siedząc lub stojąc koło siebie dnie i nocy spędzały, nie troszcząc się o świat, bo świat zamknęły w tém nieszczęściu; a przytém tak się czule kochały, tak miłośnie pieściły, tak zawsze do siebie się tuliły; zawsze razem na żer leciały, zawsze razem powracały, a zawsze smutne i w milczeniu, ani razu jednego kłapania nie słyszałem. W tém pożyciu ciekawém i tak odrębném minął miesiąc maj; boćkowa wprawdzie cza-

sem siedziała dzień cały, lecz nie dosyć na wysiedzenie jaj, przekonałem się później, że gniazdo było próżne. Z pewną kokieterią wyrestaurowali gniazdo, ubrali świeżemi materyałami i tak przeżyli ten rok żałoby do odlotu, nie znosząc jaj; w r. zaś 1849 głośném kłapaniem *ożnajmil mi bociek, że jest ojcem*. Niejeden się uśmiechnie, że to mrzonka méj wyobraźni; lecz niech wierzy, iż w ptakach każdy badacz przyrody spostrzeże wady i cnoty ludzkie, systematyczność i organizacją, widzieć musi zbrodnie, namiętności i poświęcenie. Jeżeli to nazwać chcemy przyjętym wyrazem *instynktu*, zaiste wtedy posiadają go więcej te ptaki, jak ssące zwierzęta, niewykluczając i nasze domowe, w które tyle naszej inteligencji przez długoletnią pracę przelaliśmy. Niemal corocznie robię nowe odkrycia, z których wiele wytłómaczyć sobie nie umiem i wyznać muszę, że każda niemal para ma swoje odrębne zwyczaje i obyczaje, każda żyje na swoją stopę, poddając swe życie ogólnym prawidłom, naznaczonym przez przyrodę, o tyle tylko, o ile tego wymaga utrzymanie czystej rasy, obowiązki lęgu, wyżywienia i wędrówek. Zawsze uważałem większą część ornitologów i zoologów, jako bibliotekarzy boskich, którzy żyjątką stworzone w katalogu spisali, podzielili na rzędy, rodzaje i gatunki, niezważając jak na kształty zewnętrzne i myślą ubodzy, że dopełnili swoich obowiązków. Bóg stworzył człowieka z duszą nieśmiertelną, z czuciem i rozumem, po nim stworzył zwierzęta, czyż one tak daleko od niego stoją? O nie, zwierzę myśli, czuje i pamięta, o tém się każdy przekona, który cicho, cierpliwie, a z wytrwałością zasłone

ściąga z tajemnego życia zwierząt. Jedno życie badacza, choćby najdłuższe, nie wystarczy do odkrycia wielu tajemnic, a następca jego często nie wierzy, inném okiem na świat patrzy, za podstawę badań bierze ściśle naukowe dzieła i w swój pracowni, otoczony preparowanymi egzemplarzami i zakurzonymi książkami, bada cudną przyrodę! On dokładnie wiedzieć będzie, jaki skład kości, on pozna sieć żył i ściągaczy, na pamięć znać będzie rozmiary i proporcye, lecz znaż on dzieła Stwórcy? czy on zbadał doskonałość stworzeń, nieznając ich życia skrytego? On bada przyrodę na podstawie dzieł człowieka i mniema, że wypełnia obowiązki kapłana natury! O Boże, gdybyś był ludzi natchnął, aby dziedzicznie syn za ojcem w ślady badania stąpał, jak na tron królowie, ażebyś tym wszystkim dał dobrą wiarę w przeszłość sumiennój nauki, o jakże głęboko bylibyśmy już w tajniki Twych cudów zajrzeli, jak kornie byśmy podziwiali ogrom Twych dzieł i ich doskonałość. Ale prawda, tu nie o to chodzi, moje jere miady nie na swoim miejscu; miłość własna, a za rozumienie, to hamulce, które Ty Boże, może założyłeś człowiekowi, to pęta, które krepują myśl naszą, abyśmy nie wszyscy w Twe tajemnice wzrok utopili, lecz Ty Boże znajdziesz ludzi Twoich wybranych, którzy pomału światu głosić będą wielkość i nieskończoność Twych dzieł. I tak pewnie dobrze będzie, kiedyś tak zrządził, bo dziś świat w kajdanach materyalnych, ślepy i bez wiary, wyrzekłby: To mrzonki chorobliwej wyobraźni, to nienaturalna ekscytacja, gdzież bo można znaleźć czucie, rozum, pamięć w zwierzęciu? Nowa

szkoła przecież nakazuje ujarzmić przyrodę, spożyć, co tylko pożyć się da, a co człowiekowi pożytku nie przynosi, kopnąć z pogardą. Zaiste, niestworzony jestem pisać do druku, ja z wami marzę, dumam i gawędzę, jak z samym sobą, a mnie uczyli, że dla czcionek to każda myśl musi być ulana jak z formy i poprawna, aby zniosła krytykę. Lecz ja się krytyki tak straszliwie nie boję; jednych znudzę, to mnie czytać nie będą; drudzy wiedzieć będą, że ja Boga w pokorze chwale i podziwiam Jego dzieła, a co z tajemnic mi ukazanych odkryję, to powiem z szczerością, bo ja żadnej zasługi nie mam, że przyroda mi czasami zasłonę uchyli. Można wierzyć, że bociany moje nad stratą prawie rok cały bolały, lub nie, lecz inaczej to zdarzenie tłumaczyć nie można jak boleścią lub przezornością czy znowu gniazdo niespadnie.

W roku 1869 zakłęś się w maju dach na stodole przez złamanie kilku krokiew; zgodziłem, jak się zdaje, majstra bez czucia i myśli, gdyż tenże nie zważając na bocianicę siedzącą na jajach, zupełnie z ludźmi oswojoną, rękami zrzucił gniazdo, chociaż wcale do restauracyi dachu téj zbrodni popełnić nie potrzebował. Nieszczęśliwa matka poleciała na błonie do męża, oskarżyć złego człowieka i opowiedzieć nieszczęście doznane. Bocian wysłuchawszy dramatycznego opowiadania, porwał się i z żoną przyleciał do gumna, krążyły nad stodołą przez kilka minut, usiadły na szpichlerzu, zaklekotały, wlepiły wzrok w ludzi na dachu pracujących i po długiej naradzie odleciała parka. Jeszcze razy kilka w tygodniu powracały, przypatrywały się pracy i nareszcie

obrały sobie na chacie włościańskiej siedzibę na całe lato. Gdy dach został naprawiony i świeżemi snopkami posyty, kazałem ich gniazdo na to samo miejsce położyć i nakryć gałązkami. Kilkakrotnie krążąc, rekonoskowały gniazdo moje ptaki, lecz nie usiadły i opuściły okolicę; łudziłem się nadzieją, że na wiosnę zajmą swe łoże na stodole.

Zawitała wiosna, bociany te same przyleciały, kręciły się przez tydzień cały nad gumnem, siadały po dachach szop i szpichlerza, wszakże gniazda przyjąć nie chciały do dnia dzisiejszego i przez siedm lat stronią od miejsca, sprofanowanego zbrodnią przez nieludzkiego człowieka na nich popełnioną. Z wielkim trudem bez pomocy człowieka, usłały na niskiej chacie gniazdo niewielkie i na niem wywodzą pisklęta.

W tym samym czasie, wszakże roku nie mam zapisanego, straszliwa burza pomierzwiała mi dach na owczarni i zdarła cały grzebień, gniazdo pokantowała i tak mocno nachyliła, że jaja wypadły. Oczywiście kazałem budynek poszyć, zdjąć gniazdo i po ukończonej restauracji znowu na swoje miejsce postawić i przymocować. Bocianów para przez cały czas tej długiej pracy, siedząc na dachach sąsiednich budynków, zdawało się, że pilnowała roboty, bacząc jak ludzie z gniazdem postąpią. Gdy już wszystko ukończonem było i gniazdo postawione, bociany bez najmniejszej trwogi, pomimo że dach był świeżą, złocistą słomą pokryty, opanowały swą siedzibę i poczęły gniazdo według architektury ptasiej, a nie ludzkiej restaurować. Jaj już w tym roku nie zniosły, lecz do dnia dzisiejszego wy-

wodzą na tym dachu szczęśliwie pisklęta. Czy powyższe przykłady nie dowodzą niepospolitego rozumu i stopnia argumentacji u ptaków; pierwsza parka osądziła swe nieszczęście, przypisując je człowiekowi i na zawsze porzuciła gniazdo; druga przekonana, że burza spowodowała jedynie utratę jaj, pomimo zmian na budynku, pozostała, widząc się bezpieczną wobec ludzi miejscowych.

W Krakowskiem nad Wisłą r. 1849, gdzie z czynności dziedzica często za ptakami i gniazdami chodzić mogłem, błąkała się para młodych bocianów przez cały kwiecień, szukając drzewa dogodnego do siania gniazda. Leśny, mój wielki faworyt, mający iskierkę badawczego ducha i niepohamowaną ciekawość do odkryć w moim zawodzie, opisywał mi tę niespokojność parki bocianów. Po dokładnem wyindagowaniu pokazało się, że przed laty na jednym dębie było gniazdo, zdecydowaliśmy tam przymocować koło i szczęśliwa to była myśl, gdyż zaraz na drugi dzień opanowały bociany to drzewo, wybudowały na niem obszerne gniazdo i były przyczyną niejednej miłej chwili, którą wobec ich gniazda przeżyłem. Ciekawe moje lube boćki, jakże oni się czule kochali, jak niewinnie pieścili, z jakim to rozumem to gniazdo wyścielali i powiększali, a to li w myśli przezornej roku przyszłego, bo w tym roku nie znosiła boćkowa jaj i w czystem małżeństwie lato całe spędzili. Czy tu nie trzeba podziwiać uszanowania dla praw natury, a i myśli o przyszłości!...

Wiele bocianów w bezzenności pozostaje, czego nie zawsze jakim nieszczęściem w pozyciu małżeńskim tłumaczyć można. Naprzykład w r. 1849 przyleciało

do mego lasku olszowego w Bocheńskim, stadko złożone z sześciu bocianów, które całe lato tam pozostało i dopiero w sierpniu z gromadami przybyłymi bocianów w podróż się udało; roku zaś 1850 już do mnie nie wróciło. Jakżeż mnie zajmowały te bociany przez miesiący trzy; ileż to godzin w różnych chwilach dnia spędziłem na badaniu ich życia; ileż razy już strzelić miałem, aby się przekonać, czy tam samiczki między niemi się znajdują i nigdy nie miałem na to odwagi; słyszałem zawsze ten wewnętrzny głos, który się słyszy przed niedobrym uczynkiem i nie strzeliłem, i nie mam tego zapewnienia, tak mi potrzebnego do rozwiązania téj wątpliwości; żałuję, że jednego nie ubiłem, a czuję, że i dziś téj zbrodni nie popełniłbym. Oj posądzam, że były dwie samiczki, bo spostrzegłem nieraz pieszczoty, a przyjaźń i towarzystwo pieszczot nie wymagają. Ci kawalerowie, wdowcy, lub co oni tam byli, zawsze się razem trzymali, na jedném drzewie czasem sypiali, a kilka razy widziałem ich wieczór rzędem siedzących na jednej gałęzi, jak naszpikowane ptaki, innych wieczorów po dwa, lub trzy razem, lub zawsze w bliskości i w tych wieczorach u parek *a parte* trzymających, widziałem czyli spostrzegłem ruchy, których u dwóch samców razem siedzących nigdy nie uważałem, dlatego myślę, że tam samiczki były.

Tak się te ptaki ze mną oswoiły, że kiedy przed kosarzami ulatywały, ja z wyżłem i strzelbą do nich blisko przychodziłem. One mnie dużo nauczyły i z nimi przebyłem zajmujące lato. Pewnie się nie dziwicie, że ja kocham i szanuję te słowiańskie ptaki, że tak pragnę,

aby moi rodacy równie je szanowali. W drugiej połowie sierpnia nadleciały bociany, krążyły nad olszyną, moje boćki się wzniosły, z przybyszami pomieszały, aż mi przykro było, odleciały na błonia daleko, wróciły jeszcze do téj zaciszy leśnej, zakłapały chórem, jak na moje pożegnanie, i drugiego dnia pustym zastałem mój lasek i smutny wróciłem do domu, bo to byli moi trzechmiesięczni towarzysze, których w świecie nie spotkam!

Na tém skończę me ramotki o bocianach, bo wiele drukować nie można, wielombyście nie uwierzyli, a narzecie to dla ogółu dosyć pewnie, gdyż dotąd nikt u nas o bocianie dziesięciu arkuszy niezappełnił. O innych więc ptakach dalej pisać będę, a może Bóg dozwoli, że Was przekonam, iż ptaki *czują, myślą i pamiągają*.

Rólne moje gospodarstwo podzielone na ośm pol, czyli ośmioletnią rotacyę. I tu mi ulubione bociany stawiają nader ciekawą zagadkę do rozwiązania. W tém mojem gospodarstwie, sieję na tém samym polu co ośm lat koniczynę i gdy ta roślina jest zebrana i w sterty ustawiona, wtedy na każdej sterzie nocuje po kilka bocianów w lipcu, bywa czasem do dwunastu; jeszcze na drugim łanie w bliskości siadają po wierzchach stert te ptaki, wszakże w mniejszej ilości; po innych łanach bywają co ośm lat te same zbiory, w ten sam sposób ustawione, a bociany na stertach nie siadają. To spostrzeżenie zapisuję po raz trzeci i zawsze jest praktyką potwierdzone. Co jeszcze w tém ciekawszego, że w innych latach, na tych samych łanach stoją sterty ze zbo-

zem i na tych samych miejscach postawione, a bociany na nich nie siadają, pomimo że dachy równe i do noclegu dogodne? W dzień tłómaczyłbym sobie obfitem pożywieniem, lecz jak wyświecić ten zwyczaj wiernie wykonywany i to co ośm lat?

W roku 1873, jeżeli się nie mylę, odegrał się w Przemyskiem we wsi Ostrowie straszliwy dramat, jest on dla mnie jedynym wypadkiem tego rodzaju i zdaje się, że tylko wyjątkowo się powtarza. Przed bramą dworskiego ogrodu stoi odwieczna, rozłożysta lipa z rozprutym brzuchem, z grzybami na pniu, bez wierzchu, który piorun ściął był lat temu wiele. Staruszka, pomimo swój zgrzybiałości od niepamiętnych czasów przechowuje corocznie rodziny bocianów, a że postradała ozdoby swój wierzch, więc gniazdo umocowane ledwie o trzy sążnie od ziemi i z téj przyczyny przedstawia scenę do łatwego badania w czasie lęgu. Bocianów parka opanowała to gniazdo; kiedy, tego najstarsi ludzie nie pamiętają i w terminie zawsze przylatywała. Może być, że się ta parka odświeżała to żoną, to mężem, wszakże były to znajome ptaki, przylatujące na gniazdo jak na swoją własność. W roku powyż wymienionym opanowały gniazdo, w maju samiczka prawidłowo zniosła cztery jaja, na których przykładnie usiadła. Nad ranem jednego dnia, zjawia się znad brzegów Sanu para obcych bocianów, jak się zdaje poszukująca łoża małżeńskiego i w nader nagłej potrzebie. Samiczka siedziała spokojnie, drzymiąc na swoich jajach, gdy spłoszoną została przelatującami ponad głową bocianami. Niepokojna powstała na gnieździe, napuszyła ze słusznym

gniewem pierze i ile razy natrętny przybysz przeszywał ponad nią powietrze, ona ostro swój dziób nadstawiała. Trwało to dosyć długo, niebezpieczeństwo się wzmagalo, a męża w domu nie było, poleciał bowiem za pożywieniem dla siebie i dla żony; samice w podobnych wypadkach nieradne i potrzebują najwięcej pomocy i opieki męża. Chociaż jaja stygły, ona usiąść nie mogła, natarczywość przybyszów się wzmagala i posunęli natrętność do tego stopnia, że na téj samej lipie usiedli, a jeden w bliskości gniazda. Moja bocianica, oparta na niezaprzeczonem prawie własności, odważna miłością macierzyńską, broni swego gniazda, szturka napastników, lecz przeciw dwom obronić nie może siebie i dzieci. Jeszcze chwilka, a byłaby musiała opuścić zniesienie, lecz zjawia się małżonek, okrąża gniazdo, coraz niżej, nareszcie siada i najbliższego bociana dziobem strąca.

W téj chwili siada na tém samym miejscu drugi bocian i otrzymuje dokładnego szturchańca, zanim przywrócił sobie równowagę, już znowu pierwszy bije z natarczywością na właściciela. Temu już było zawiele, wyzwał intruzów do walki, podniósł się i sunął pod obłoki, obce bociany za nim, wszystkie trzy toczyły koła, ścierały się i górowały nad sobą, lecz widocznie walka była nieroztrzygnięta, gdyż na wielką zgrozę nawiedzonych samiczki, trzy zmęczone bociany siadły na lipie. Nad wieczorem po ukończeniu terminu zawieszenia broni, znowu ta sama walka, w powietrzu rozpoczęta, trwała do zachodu słońca. Tu się odgrywa epizod, mogący każdego męża, tém więcej każdą żonę do żywego obra-

zić. Napastnicy bezwstydni, bez najmniejszej delikatności, rzeczywiście istoty ordynaryjne, nie zważając na świętość łoża małżeńskiego, w sypialni razem ze stadłem przepędzają noc. Już tu każdemu mężowi miara cierpliwości byłaby się przebrała, to też mój bocian, przy wschodzie słońca poszturchawszy natrętnych, porwał ich ze sobą i przez kilka godzin bił się walecznie sam przeciw dwom, lecz bez skutku, bo znowu napastników przyjęła lipa. Znieważona samiczka pojęła niebezpieczeństwo i uznała potrzebę wdania się w walkę, nawet z ofiarą swych jaj. Bociany na drzewie roić się poczęły, z gałęzi na gałąź się spędzały, nawzajem się zrzucały i nareszcie podniosły się do walki powietrznej, krążąc i kołując coraz wyżej pod chmury. Wtém pędem błyskawicy spada jeden obcy bocian na gniazdo, siada i dzióbem wyrzuca jajo. Spostrzegła to z góry matka, spuściła się do rabusia i na własnej pościeli stacza, jak się zdaje, zwycięzką walkę, gdyż przybysz mocno poturbowany chyłkiem się wyniósł i usiadł na sąsiednim dachu, ze spuszczonej skrzydłami, co zawsze u ptaka dowodzi stanu chorobliwego. Widocznie samiec walecznością samiczki rozogniony, ściga swego rywala zniżającego się ku ziemi, dopędza, szturcha i prowadzi na dach, gdzie drugi napastnik ze smutną miną siedział. Dokonawszy celu walki, powrócił na gniazdo, popieścił samiczkę i oboje na znak zwycięstwa głośno zaklekotały. Dnia następnego pokój panował na lipie, a ślad napastników znikł. Właściciele resztę jaj wyrzucili, ona zniosła jeszcze raz trzy i szczęśliwie pięć bocianów powędrowało do ciepłych krajów.

Dzikie bociany nienawidzą bocianów przez ludzi wychowanych, gdzie je tylko dopaść mogą, tam je przesładują i częstokroć zabijają. Gdy n. p. jeden lub parka bocianów nie może zabić, że tak powiem, swojskiego bociana, wtedy zwołują się w większej ilości i zbrodni dokonują. Podobne zdarzenia licznie zanotowane i przez większą część ornitologów zauważane: przesładowanie domowych bocianów jest w regulaminie ich życia zapisaném i one te egzekucye wiernie wykonują. Mają do popełnienia tej zbrodni dwa środki: albo klekotaniem wołają do siebie bociana i na dachu lub w polu go biją, albo też spadają jak nawałnica niespodzianie na niego i zanim pomoc zdąży, już mój bociek nie żyje, lub też pokrwawiony obziera się za ludzką pomocą.

Te egzekucye odbywają się najczęściej na wiosnę po przylocie i w jesieni przed odlotem, zdarza się wszakże, że i wśród lata napadają na bezbronnego ptaka. W życiu bocianów są tajemnice, zaiste zastraszające ciekawość. W wypadkach powyżej opisanych zdawałoby się, że dlatego karca bociana, że się zpod praw obowiązujących cały ród, on wyłamał; również, że bociany, w szczególności przed podróżą kalek i niedołęgów ani na wędrówkę wziąć ze sobą nie chcą, ani w kraju zostawić. Dalej, że ptaki wszystkie nie cierpią i nie znoszą żadnych odmian, choćby w najdrobniejszych rozmiarach, i tak przypadkowe odmiany białe lub pstrokate przesładowane bywają i w najkorzystniejszym przypadku na samotność skazane; nawet ptaki, którym przyczepiono łatki lub tasiemki, przez kolegów gonione i turbowane bywają, najczęściej z rodzinnego miejsca wy-

pędzane. Jakże więc sobie wytłomaczyć przyjęcie bocianów, przez człowieka wychowanych i wzięcie takowych w podróż? Jak one się mogły wytłomaczyć i uniewinnić, jak gniew starszyny przebłagać? Lub też musimy przyjąć bolesne przypuszczenie, że te boćki później w czasie podróży zabite zostały. Wyjątkowe przyjęcie domowych bocianów przez stada, nie może być zaprzeczonem, z własnego doświadczenia mogę dwa podobne zdarzenia wykazać.

Zawsze uważałem bociana, jako pod prawem narodowem stojącego, zasługującego na opiekę naszą, konsekwentnie starałem się ustalić mu reputacyą rozumnego, obowiązkowego i pożytecznego ptaka, mogącego służyć za przykład dla ojców i małżonków. Nie wypadalo w opisie jego życia umieszczać usterek, zboczeń, grzechów i zbrodni, popełnianych zaiste tylko wyjątkowo; wszakże sumienność i prawda zmusza mnie w adnotacyach dodać me spostrzeżenia, oraz i oskarżenia w przekonaniu, że ledwie jedna dziesiąta część czytelników raczy adnotacye czytać. Szczerze tu wyznać muszę, że przez lat 40 zanotowałem jeden tylko wypadek lekkomyślności bociana samca, jeden wypadek niewierności małżeńskiej w zamian, (chciałbym drukować nieczytelnemi czcionkami); bocianica kilkakrotnie okazała mi się złą i niewierną żoną. Z tym wyrazem w całej postaci, godności, powagi, z tą cechą obowiązkowości i ofiarności, pomimo smutnej twarzy i obojętności, która wpaja przekonanie, że ona jest dla wszystkich i wszystkiego zimną i żadną pokusą nie da się wyrwać z kółka swych obowiązków, przecież zdradza i pomimo, że ni-

gdy wyzywających kroków nie czyni, że nie jest zalotną czyli kokietką, zdarza się, że pokusa ją zwalczy i do niewierności doprowadzi. W innych gatunkach ptaków mizdrzenie i pieszczoty widoczne, bocianica nawet *en bones fortunes*, poważna i pozornie zimna. A przytém zdawałaby się przezorna i rozważna, ktoby myślał, że doświadczona w tym zawodzie na krętych drogach, gdyż nigdy nie zauważałem, aby nadskakującemu konkurentowi dopomagała przeciw swemu mężowi. Na pozor z obojętnością patrzy na napastowanie małżonka, na toczącą się walkę, w którą się prawie nigdy nie mieśza; przez długie częstokroć godziny stoi na jednem miejscu, gdyby spektatorka, nieruchoma, zimna i obojętna, przypatrująca się toczącej się krwawej walce i z równą na pozor obojętnością przyjmuje do siebie zwycięzcę, czy to męża, czy napastnika. Jak tam u niej wewnątrz, co ona myśli i zamierza, jakie z małżonkiem odbywa sceny, jak się tłómaczy i uniewinnia, to dla badacza rzecz zasłonięta, lecz musi być zręczną i pełną finezyi, kiedy z mężem później znosi jaja i tenże ją pieści, karmi i nią się opiekuje, a w razie niebezpieczeństwa nawet z narażeniem swego życia broni.

W obronie gniazda staje odważnie i zacięcie się bije przeciw napastnikom wspólnie z mężem, zadając silne razy klinowatym dziobem, częstokroć nawet śmiertelne; te walki rozróżnić łatwo od pojedynków konkurencyjnych, gdyż w pierwszych biją się najczęściej cztery bociany, w drugich dwa, gdyż boćkowa rzadko kiedy w walce udział bierze, a gdy to się zdarza, wtedy jest krótkotrwałą z dwóch przyczyn: najpierw, że dwa

bociany zaraz pobiją przybysza, a po drugie, że tenże widząc w samiczce niechęć ku niemu, chętnie się usuwa, nie narażając swego ciała na niepotrzebne razy. W r. 1876 profesor Janota wydał monografią bociana nader zajmującą, opartą na faktach i spostrzeżeniach świadków i wielu nader autorów; jest to nader cenna praca nietylko dla ornitologów, lecz i dla całej społeczności. Książka ta we Lwowie wydana, oparta na mozolnie gromadzonych materyałach przez wiele lat, ma o tyle jeszcze więcej pożytku, że każde zdarzenie opiera się na wymienionym świadku. Autor powyższy opisuje zajmujące zdarzenie walczących dwóch samców o samiczkę, przepłacających afekt śmiercią; samiczka zaś nie biorąca udziału w walce, gdy się przekonała o tragicznym akcie ostatnim, opuściła na zawsze swe gniazdo.

Autor powyż cytowany opisuje następujące zdarzenie: W okolicy Erfurtu było gniazdo opanowane przez tę samą parę bocianów przez wiele lat, żyła ona w zgodzie i wywodziła młode. W r. 1838 obcy bociek zaczął się przymilać do samiczki, umizgał się i posuwał bezczelność do tego stopnia, że siadał na gnieździe. Już samiczka była zniosła legalne jaja i dnia jednego, gdy bociek wypełniwszy wszystkie swe obowiązki względem boćkowej, siedział spokojnie na gnieździe, słodką drzémką krzepiąc swe ciało, jak to mężowie często czynią, przybysz natrętny kołował w powietrzu chwilę, zatrzymał się nad gniazdem, a potem szybkim lotem spuścił się na śpiącego boćka, utopił dziób w jego ciele, zrzucił z baszty i zasiadł na gnieździe. Samiczka, jak się zdało, obojętnie przedstawieniu tragicznemu się przy-

patrywała, niepodnosząc się z jaj i przyjęła zastępcę męża, jako dla niej przeznaczonego opiekuna. Dla podobnej żony niema już nawet miejsca w kronice skandalicznej, więc cisnę na nią czarny grobowiec, lecz warto wspomnieć o tym odważnym i determinowanym konkurencie. Po zbrodni popełnionej prowadził dalej życie, jak gdyby nic nie było zaszło, pielęgnował nabytą wdowę, pożywienie jej donosił, jaj nie wyrzucił, pisklęta wykarmił i z przybraną rodziną w podróż ruszył w terminie naznaczonym. Odwaga, zręczność, determinacja, bezinteresowność i poświęcenie tego ptaka może służyć za wątek do wysnucia zajmującej powieści w świecie ptasim, mającym tyle podobieństwa do ludzkiego świata.

Proszę wierzyć, że podobne skandaliczne zajścia są nader rzadkimi wyjątkami, na potwierdzenie tego zdania liczne dowody składają badacze, kronikarze i autorowie, z których każdy przez całe życie ledwie jedno lub dwa zdarzenia zanotować sobie mógł, a nie więcej; przeważna część opisów tych samych, pochodzi z powtórzenia tychże kilkakrotnie przez autorów. Ród bocianów cechuje wierność małżeńska, ofiarność i obowiązkowość, a jeżeli tu i owdzie zdarzy się dramat miłosny lub popełni się zbrodnia małżeńska, to tylko nowy dowód do mego twierdzenia, że w każdym gatunku ptaków jednostki się wyradzają, z napiętnowanymi namiętnościami i zupełnie innym usposobieniem, temperamentem i charakterem, na które wyroki przysięgłych ptasiego rodu, wywierałyby zbawienne skutki.

